

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„MOŻECIE MIEĆ POMOC NARODÓW REWOLUCYJNEJ EUROPY, PODNOSZĄC TYLKO ICH CHORAĞIEW, WOŁAJĄC DO NICH WSZYSTKICH: „ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ”, PRZEKONUJĄC JE, ŻE W WAS ODRADZA SIĘ NIE ARYSTOKRATYCZNA I JEZUICKA POLSKA — LECZ NOWA POLSKA, POLSKA LUDU I WOLNOŚCI SUMIENIA, POLSKA POSTĘPU, A NIE ZMARŁYCH NA ZAWSZE STULECI”.

1863 r. Mazzini

JAN KOTT

# Węgiel

### I. SZEPTEM I GŁOŚNO.

„Sprawą najbardziej drażliwą jest dzisiaj w Polsce węgiel — powiedział mi sześć tygodni temu jeden z profesorów prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wkrótce będziemy wszyscy słowo węgiel wymawiać szeptem, oglądając się naokoło, czy nikt nie podsłuchuje. Znów słowo węgiel z łamów prasy, a publicyści... wasi publicyści atakować będą Ministerstwo Kultury i Sztuki”. Tyle ów profesor uniwersytetu.

Nigdy nie twierdziłem, że nie ma w Polsce problemów drażliwych. Są, były i będą. Ale nie ma spraw, o których nie wolno pisać, nie można pisać, nie należy pisać. Nasi przeciwnicy o nich nie piszą, obawiając się, że kiedy powiedzą a i b, będą zmuszeni ciągnąć aż do z, a po drodze jest wiele liter dla naszej wewnętrznej emigracji bardzo kłopotliwych. Dlatego wołam szeptać. Ale na szeptu trzeba także odpowiadać głośno. Postanowiłem włączyć ją za rogi. Pojechałem na Śląsk.

A teraz jasno i wyraźnie. Mojemu rozmówcy z krakowskiego uniwersytetu szept o eksport naszego węgla do Związku Radzieckiego. Nie jemu jednemu. Po cichu, na ucho, szeptem stawiane są naszej gospodarce węglem trzy następujące zarzuty. *Po pierwsze:* wydobywamy węgla za mało, aby sobie pozwolić na eksport. Przemysł z powodu niedostatecznego zaopatrzenia w węgiel nie może rozwijać pełnej produkcji. Okradamy samych siebie, pozabawiamy kraj podstawowego surowca. *Po drugie:* nie jest ważna ilość wydobytego węgla, o zaopatrzeniu kraju decyduje transport. Węgla wydobywamy dosyć, ale brak nam transportu. Nie potrafimy dowieźć węgla do miast i fabryk, ponieważ tabor kolejowy zablokowany jest przez eksport do Rosji. Marnotrawimy nie węgiel, ale transport. *Po trzecie:* węgiel musimy i możemy eksportować. Rozwiązujemy problem transportu i wydobywania. Ale eksport może być korzystny i niekorzystny. Nasza umowa z Związkiem Radzieckim jest dla nas krzywdząca. Oddajemy nasz węgiel za tanio. Gdybyśmy go sprzedali Szwecji, każdy z nas miałby od dawna własny samochód pełną piwnicę skondensowanego mleka.

Tak szepczą w Krakowie, Warszawie i Łodzi. Na Śląsku mówią inaczej. Na Śląsku podają cyfry.

### II. CYFRY.

Dwadzieścia, piętnaście i pięć, czterdzieści osiem, dwadzieścia cztery i dwadzieścia cztery. To są dwa łańcuchy podstawowych danych za rok 1945 i 1946, obejmujące wydobywanie, zaopatrzenie kraju i eksport. W sprawach gospodarczych trzeba myśleć cyframi — to są elementy rozumowania. W sprawach gospodarczych nie wolno wnioskować, że ponieważ wczoraj mój przyjaciel widział pociąg z węglem, jadący na wschód, a w domu centralne ogrzewanie nie działa, wywożymy węgla za dużo. To nie jest rozumowanie, to jest zwykły czajny bełkot.

Wracamy do cyfr: 20 i 48. Co oznaczają te dane?

W roku 1945 wydobyliśmy 20168 tysięcy ton (w ciągu 9 miesięcy).

W roku 1946 wydobyliśmy 48 milionów.

Czy to jest dużo? Porównajmy: W roku 1938 wydobywanie wynosiło 38,1 milionów ton z obszaru Polski.

A więc wydobyliśmy około 55 proc. produkcji przedwojennej, a w roku obecnym przekroczyliśmy ją o blisko 30 proc.

A teraz druga para cyfr: 15 i 24.

W roku 1945 na potrzeby kraju zostało około 15 milionów ton węgla.

W roku 1946 na kraj pójdzie 24 miliony ton węgla.

Czy 16 jest dużo? Przed wojną zużycie węgla na głowę ludności wynosiło około 1000 kg. rocznie. Cyfra 15 milionów odpowiada konsumpcji 800 kg. na głowę w stosunku rocznym.

Według możliwie dokładnych szacunków kraj nasz potrzebuje rocznie 24 miliony ton.

A więc w roku 1945 pokryliśmy zaopatrzenie kraju w 60 — 70 proc. (A jeżeli to samo obliczenie przeprowadzić na okres 9 miesięcy od kwietnia, zaopatrzenie zostało pokryte w 80 proc. W roku 1946 potrzeby kraju zostaną zaspokojone w 100 proc.

Teraz trzecia seria cyfr: pięć i dwadzieścia cztery.

W roku 1945 eksport nasz wyniósł 5,400 tysięcy ton.

W roku 1946 będziemy mogli wywieźć 24 miliony ton.

Z jakich pozycji składał się nasz eksport?

Do Związku Radzieckiego wywieźliśmy 5128 tysięcy ton.

Do krajów północnych wywieźliśmy 206 tysięcy ton.

Do krajów południowych wywieźliśmy 90 tysięcy ton.

Z przeszło 5 milionów ton węgla wywiezionych do Związku Radzieckiego 3720 tysięcy ton stanowi eksport właściwy. Sto sownie do postanowień umowy handlowej; reszta to zwrot długu węglowego, węgiel tzw. frontowy i węgiel „zdobyczy”. Do chwili rozpoczęcia eksploatacji Zagłębia Związek Radziecki pożyczal nam węgiel; węgiel ten musieliśmy w roku bieżącym zwrócić. Ponadto zobowiązaliśmy się do starczać pewną część produkcji węgla na potrzeby frontu do chwili zakończenia działań wojennych, oraz oddać część pozostawionego przez Niemców węgla w myśl umowy o podziale zdobyczy ziemieckiej. Te trzy ostatnie rodzaje eksportu wyniosły razem 1400 tysięcy ton.

W roku 1946 zostanie nam na eksport 24 miliony ton. Z tego w myśl umowy do Związku Radzieckiego wywieziemy 8 milionów ton, czyli 33 proc. eksportu i 16 proc. całego wydobywania. Na 10 milionów ton węgla zawarliśmy już umowy handlowe, węgiel nasz eksportować będziemy prawie do wszystkich państw północnej, środkowej i południowej Europy. Pozostaje sześć milionów luzu eksportowego, co do którego nie związaliśmy się jeszcze umowami. Węgiel ten wkrótce sprzedamy.

### III. NAJWĘZSZY PRZEKRÓJ.

Jeżeli do końca grubego i mocnego sznura przywiążemy cienki i słaby sznurek, jaka będzie wytrzymałość zaimprovizowanej linki. Oczywiście, równa wytrzymałości cienkiego i słabego sznurka. Nie można poprawnie rozumować w sprawach gospodarczych i technicznych, jeżeli zapomina się o tym prostym fakcie, że o wytrzymałości, o przelotności, o wydajności decydu-

je zawsze miejsce najslabsze, „korek” albo w języku techników najwęższy przekrój. Jeżeli kolumna składa się z samochodów i fur, szybkość posuwania wyznacza ją fur, a nie średnia pomiędzy szybkością auta i szybkością fura. Problem węgla, to jest wydobywanie i transport. Transport jest tutaj owym „najwęższym przekrojem”. Kiedy pytam mnie w Anglii o tempo odbudowy gospodarczej Polski odpowiadałem dwiema cyframi: produkcja węgla 75 proc. przedwojennej, transport 25 proc. przedwojennego stanu. (średnie dane z lata 1945). Dla ludzi myślących kategoriami gospodarczymi, te dwie cyfry wyjaśniają wszystko. Spójrzmy na wykres obrazujący wzrost załadunku kolejowego i wzrost wydobywania. Linia wydobywania idzie stromo do góry, linie obrazujące transport kolejowy po początkowym wzroście zatrzymują się na jednakowym poziomie. Poprawa transportu nastąpiła dopiero w grudniu i styczniu. Transport przez pięć miesięcy od lipca do grudnia nie mógł dogonić tempa wzrostu wydobywania. Popatrzmy na tabelę:

	Kwiecień	Wrzesień	Grudzień	Styczeń
Transport szerokim torem	250	500	480	485
Transport wąskim torem	100	190	190	190
Transport normalnym torem	400	900	1700	2200
Ogółem transport kolejowy	650	1590	2370	2875
Wydobywanie	920	2450	2900	3600

(w tysiącach ton)

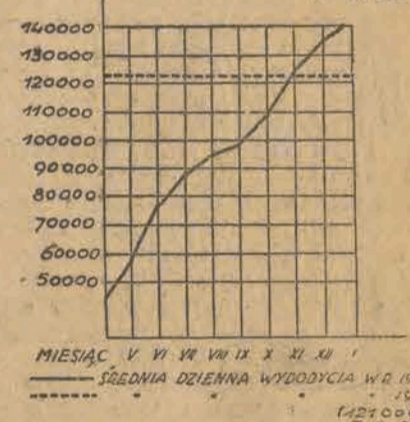
Uwaga: cyfry przybliżone.

Tabela ta jest jakgdyby kardiogramem rozwoju gospodarczego kraju. Musimy jeszcze przeanalizować kolejne pozycje. Transport szerokim torem obejmuje całkowicie węgiel, który wywozimy do Rosji. Transport wąskim torem idzie na potrzeby Śląska. Transport normalnym torem obejmuje węgiel na potrzeby kraju, węgiel na eksport do krajów północnych i południowych i w drobnym procencie wywóz do Rosji. To jest rodzaj transportu, który wpływa bezpośrednio na kształtowanie się ceny węgla na wolnym rynku, a pośrednio na tempo rozwoju produkcji przemysłowej. Przelamanie nastąpiło w grudniu. I oto w grudniu cena tony węgla spadła w Warszawie i w Łodzi z 12,000 na 3,000 zł. Był to jeden z największych sukcesów naszej polityki gospodarczej. Grudzień był pierwszym miesiącem, w którym zapotrzebowanie przemysłu na węgiel zostało prawie w całości pokryte.

A teraz znowu sprawa eksportu węgla do Związku Radzieckiego. Spójrzmy na wykres i na tabelę. Szerokim torem odeszło do Rosji około 3 milionów ton węgla, a więc przeszło 60 % całości eksportu. Szeroki tor obsługiwany jest wagonami i parowozami radzieckimi. Eksport do Związku Radzieckiego nie obciąża naszego transportu. I dlatego był to w roku 1945 nie tylko eksport dla nas najbardziej korzystny, ale jedyny możliwy na większą skalę. To jest zasadniczy punkt w każdej dysku-

sji w sprawie polityki węglowej. Niestety, do wyobraźni ogromnej części naszej inteligencji przemawia wórek z węglem i zimny kaloryfer, a nie szerokość torów, czy cyfry wydobywania.

WZROST WYDOBYCIA WĘGLA W R. 1945

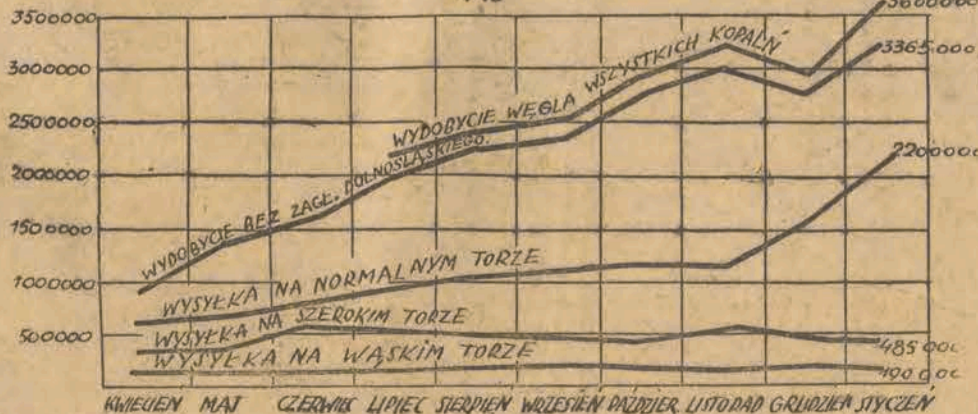


W świetle tych danych jest oczywiste, że gdybyśmy nawet zupełnie zrezygnowali z eksportu naszego węgla do Rosji, zaopatrzenie kraju w węgiel nie uległoby uciążliwej poprawie. O zaopatrzeniu kraju decyduje wyłącznie transport normalnym torem.

A teraz sprawa eksportu do krajów północnych. Tutaj natrafiamy znowu na dwa „korki”. Pierwszy jest transport kolejowy, drugim i decydującym wydajność urządzeń przeładunkowych w Gdyni i Gdańsku. Znowu musimy rozmawiać w oparciu o dane techniczne. W pierwszej połowie ubiegłego roku urządzenia przeładunkowe w naszych portach umożliwiły załadunek jedynie 3000 ton dziennie. Obecnie możemy w Gdańsku i Gdyni załadować na statki do 8,000 ton dziennie. I te 8000 ton dziennego eksportu stanowi granicę, której nie zmieniają marzenia o skondensowanym mleku i sardynkach na przekąskę. Zaopatrzenie kraju — to wzmożenie transportu, eksport morzem — to odbudowa portów. Takie są rygory techniki.

Pozostaje problem opłacalności wymiany. Po jakiej cenie i za co eksportujemy do Związku Radzieckiego nasz węgiel? Od powiedz jest prosta: po światowej cenie węgla, ustalonej na międzynarodowym rynku. Wynosi ona obecnie 43 szylingi za tonę, czyli nieco więcej niż 8 dolarów. Po tej samej cenie sprzedajemy węgiel tak samo do Związku Radzieckiego jak i do wszystkich innych krajów. Sprzedajemy po tej cenie, ale oczywiście nie za dolary. Wymiana ma charakter towarowy i dolar jest tylko miernikiem ceny. Towary, które otrzymujemy obliczane są w dolarach, według cen światowego rynku. Znowu wszelkie rozumowanie nie może uciekać w cudowną krainę iluzji i marzeń. Ważny jest dla naszego obrotu stosunek ceny węgla do ceny rudy lub bawełny, a nie miernik wartości. Równie dobrze moglibyśmy sprzedawać nasz węgiel w cenie 8,000 dolarów za tonę i płacić tysiąc razy więcej za rudę czy bawełnę. Ze Związku Radzieckiego otrzymujemy w zamian za nasz węgiel przede wszystkim wełnę i bawełnę, rudę i kopalniaki, miedź, cynę i aluminium. Tym, którzy nie doceniają wagi importu ze Związku Radzieckiego, wystarczy chyba przytoczyć fakt, że zapas surowca jaki posiadają fabryki łódzkie po odejściu

WYDOBYWANIE WĘGLA oraz WYSYŁKA WĘGLA I KOKSU KOLEJĄ NA NORMALNYM, SZEROKIM I WĄSKIM TORZE 1945



Niemców, wystarczał na 2 tygodnie. Gdyby import bawełny ze Związku Radzieckiego został wstrzymany, w ciągu miesiąca mielilibyśmy w samej Łodzi 200.000 bezrobotnych. Równie wielkie znaczenie ma przywóz rudy z kopalni pod Krzywym Rogiem. Niewątpliwie są to rudy w porównaniu ze szwedzkimi niskowartościowe. Ale są, a tamtych nie ma. Rudy szwedzkie nieśle, nie mogą spaść z nieba i muszą zostać wyładowane w portach. Sprawa przedstawia się tak samo jak i z eksportem węgla. Przewóz rudy uzależniony jest od odbudowy portów. Tymczasem dzięki rudom rosyjskim hutnictwo nasze produkować może stal, niezbędną do odbudowy wszystkich gałęzi przemysłu.

#### IV. PLAN I PRODUKCJA.

27 stycznia 1945 r. uwolnione zostały Katowice i Sosnowiec. 27 stycznia we wszystkich kopalniach zaczęła się toczyć walka z ogniem i wodą. 28 stycznia wydobyto pięć pierwszych ton węgla. 2 marca rozpoczął pracę Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego. W połowie marca wydobycie sięgnęło 25.000 ton dziennie. Od 1 kwietnia całość procesów technicznych i gospodarczych w dziedzinie wydobycia węgla zostaje podporządkowana planowi.

Jeszcze parę cyfr: maksymalna zdolność produkcyjna naszego zagłębia węglowego szacowana jest na 100 milionów ton rocznie. W ciągu dziesięciu miesięcy 1945 roku wydobylismo przeszło 20 milionów ton, plan na rok 1946 przewiduje wydobycie 46 milionów, na rok 1948 — 63 miliony, na rok 1949 — 75 milionów, na rok 1956 — przekroczenie 80-ciu milionów.

Na czym polega planowanie? Na stopniu wzmocnienia i celowym powiększeniu „największego przekroju”, albo inaczej — na usuwaniu dysproporcji technicznych. Techniczny proces wydobycia uzależniony jest od określonej ilości elementów: planowanie to jest takie łączenie poszczególnych elementów produkcji ze sobą, aby zmniejszyć do minimum straty. Elementy to: prace przygotowawcze i potencjał energetyczny kopalni, to ludzie i narzędzia, to kopalnia i materiał wybuchowy. Brak któregoś z tych elementów tworzy natychmiast „korek”, planowanie — to zapobieganie tworzeniu się „korków”.

Przykład: podstawowym warunkiem wydobycia węgla jest dokonanie prac przygotowawczych. Prace te są długie, ciężkie i kosztowne. Jeżeli ich nie będziemy wykonywać, zwiększymy co prawda gwałtownie bieżącą produkcję węgla, ale po krótkim czasie, wydobycie będzie musiało stanąć. Jeżeli natomiast całość wysiłków poświęcimy wyłącznie na wykonanie prac przygotowawczych, zahamujemy całkowicie bieżące wydobycie. Planowanie — to właśnie ustalanie proporcji pomiędzy tym, co jest potrzebne dziś, a co będzie potrzebne jutro.

Wydobycie dziennie wzrosło w ciągu 10 miesięcy z 5.000 ton do 14.000 ton, wydajność pracy z 469 kg dziennie na jednego robotnika do 938 kg. Oto są skutki planowania.

Jeżeli porównać tempo rozbudowy naszego przemysłu węglowego po tej i po tamtej wojnie, okaże się, że w ciągu niespełna roku dokonaliśmy pracy lat czterech. Dzięki jednolitemu planowaniu uniknęliśmy wszystkich strat, związanych z zamknięciem kopalni, z dowolnym ustaleniem wydobycia i eksportu, z konkurencją zakupów i sprzedaży. Taka jest wymowa gospodarcza unarodowienia kopalni, które umożliwia powstanie jednolitego kierownictwa i centralnego planu.

#### V. CENY I PLAC.

Hurtowa cena węgla ustalona została jednolicie według mnożnika 6,5 w stosunku do ceny przedwojennej na złotych 130 za tonę. W sprzedaży detalicznej loco kopalnia cena ta wynosi zł. 225. Jeżeli dołączymy wartość eksportu, średnia cena, jaką osiąga przemysł węglowy za tonę, dosięgnie 150 zł.

Co oznacza ta cena? Średnie dzienne wydobycie na 1-go robotnika dosięga jednej tony. A więc wartość produkcji dziennej jednego robotnika wynosi w przemyśle węglowym około 150 zł. Gdybyśmy założyli teoretycznie, że w procesie wydobycia węgla nie ma żadnych innych kosztów poza robotniczą i dalej, że górnik powinien otrzymać pełną wartość swojej pracy, prze myśl węglowy mógłby płacić swoim robotnikom po 4.500 zł. miesięcznie. Albo jeszcze inaczej, gdyby górnik wydobycia węgla na własny rachunek, i to bez narzędzi, wartość wydobycia węgla wynosiłaby 150 zł. dziennie, a więc sumę niewystarczającą na utrzymanie.

Te dwie cyfry: cena tony węgla i przeciętna wydobyta na jednego robotnika wyjaśniała bez reszty problem kalkulacji węglowej — problem plac. Koszty robotnicy

wynoszą w przemyśle węglowym około 50 proc. ogólnych kosztów, stąd wynika jasno, że przemysł płacić może robotnikowi 50 proc. wartości jego pracy, czyli 75 zł. średnio za przepracowaną dniówkę. Rozumowanie jest bezbłędne, średnie zarobki w przemyśle węglowym wynoszą 1.500 zł. miesięcznie (przy 25 dniach roboczych powinny wynosić teoretycznie 1.800 zł.).

Mnożnik 6,5 i cena zł. 130 za tonę ustalona została na skutek konieczności dostarczenia dla przemysłu podstawowego surowca po cenie możliwie najniższej. Rzecz prosta, że przy tej cenie przemysł węglowy musi być deficytowy. Deficyt za rok 1945 przerósł pół miliarda złotych.

Na kalkulację węglową spojrzeć musimy teraz z dwóch stron: od strony państwowej polityki gospodarczej i od strony polityki społecznej. Niska cena węgla obniża kalkulację kosztów całego przemysłu. W rozumowaniu gospodarczym nie wolno izolować żadnego zjawiska. To co tracimy na węglu zyskujemy na obniżeniu cen wyrobów przemysłowych, a więc pośrednio niska cena węgla wpływa na obniżenie cen produktów rolniczych. W tym rozumowaniu deficyt węglowy jest tylko deficytem rachunkowym.

Tak jednak nie jest w rzeczywistości. Prawidłowy rozwój życia gospodarczego wymaga rentowności każdej z poszczególnych dziedzin gospodarki narodowej. Przerzucanie deficytu z jednej gałęzi produkcji na drugą nie jest objawem zdrowym. Rentowność — to jest higiena produkcji, a nie tylko estetyka bilansów. Cena węgla musi zostać podniesiona do wysokości, umożliwiającej rentowność produkcji.

A teraz spojrzmy na cenę węgla od strony polityki społecznej. Połowa kosztów produkcji — to jest robocizna. Nie lekajmy się faktów — niską cenę węgla umożliwiają niekie placę i tak być musi. A teraz rozważmy odwrotnie. Podnosimy placę górników, wzrasta cena węgla, podnoszą się koszty wszystkich wyrobów przemysłowych i wszystkich produktów rolniczych.

#### TADEUSZ HOŁUJ

## Wigilia stulecia

Mija sto lat od wybuchu rewolucji krakowskiej z roku 1846, od Manifestu krakowskiego, głoszącego światu całemu, że „będzie nam wolność jakiej dotąd nie było na ziemi; wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którym każdy podług zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden mieć nie będzie miejsca, w którym ziemia stanie się bezwłasnością właścicieli”.

Socjalistyczny duch Manifestu wzbudził uwagę Marksa na poczynania wolnościowe i socjalne kierowników powstania krakowskiego i nie nadarmo Manifest Komunistyczny głosi: „Wśród Polaków komuniści popierają partię, która rewolucję agrarną uważa za warunek wyzwolenia narodowego, tę samą partię, która wywołała powstanie krakowskie w 1846 roku”.

Mineło jedno stulecie i dzisiaj na tym zakręcie historii, na jakim znajduje się Polska Demokratyczna trzeba spojrzeć na orzebyta drogę upewnić się, że po właściwej kroczymy, że zaczęliśmy swą wędrówkę nie dziś ale kilka pokoleń temu, że nasz rodowód polityczny ma wielką tradycję walki.

100 lat temu zaczęto przygotowywać powstanie krakowskie na terenie całej Galicji, rządzonej przez panów pańszczyźnianych wspólnie z mandatanusami, jęczącą w chłopskiej ciemności, biedzie i nienawiści do ucisku szlacheckiego. Chłop był właściwie niewolnikiem pańszczyźnianym, propinacji i głodu. Szlachcic był niewolnikiem swego egoizmu i ciemnoty, magnaci wpełnieni w feudalne formy narzucone Galicji przez rząd austriacki, stanowili fundament monarchii a biurokracja niemiecka starała się pogłębiać różnice społeczne wśród Polaków, aby nie dopuścić do skonolidowania się narodowego, do zbiorowej walki z cesarstwem. Nagromadzenie się nienawiści klasowej chłopu pańszczyźnianego do uciskającego go pana, procesy o prawo użytkowania pastwisk i lasów pomiędzy gminami a dworem i feudalne traktowanie chłopów wzbudziło przemożną chęć zemsty, odcychając ich na czas długi od wszelkiej współpracy narodowej ze szlachtą.

Mieszkaństwo polskie w miastach, nielicznych zresztą w Galicji, było zbyt słabe, aby odegrać mogło jakąkolwiek rolę w wypadkach politycznych owego czasu.

Bazę społecznego przyszłego powstania stanowiła uboga szlachta i nieliczna, postępująca inteligencja polska.

W Rzeczypospolitej Krakowskiej stosunki społeczne układały się pomyślniej aniżeli w Galicji, chłop krakowski był więcej swiatły i

W rezultacie górnik otrzymuje za powiększoną placę to samo, co dostawał przedtem.

Błędne koło? Nie! Tylko zła metoda. Do podnoszenia stopy życiowej nie prowadzi droga podnoszenia plac, ale zwiększenia produkcji. Więcej węgla, to jest więcej towarów przemysłowych, to zwiększenie wymiany miasta i wsi, to równomierne obniżenie wszystkich cen i stopnio we podwyższenie stopy życiowej.

Wnioski: Gospodarstwo narodowe jest całością. Kalkulacja cen sztywnych oparta być musi na zasadzie najniższej możliwej rentowności każdej z poszczególnych dziedzin gospodarki państwowej. Albo mówiąc inaczej, utrzymanie dotychczasowej polityki plac przy maksymalnym zwiększeniu przydziałów po cenach sztywnych. Zwiększanie produkcji i raz jeszcze zwiększanie produkcji.

#### VI. WYCHOWANIE NOWEGO CZŁOWIEKA

„Musimy wychować nowy materiał ludzki — mówił jeden z inżynierów górniczych. — Wychowujemy. W styczniu udało nam się dostarczyć w 100 proc. przydziały żywnościowe. W ciągu lata wystaliśmy do domów wypoczynkowych 7 tysięcy górników, a więc 4 proc. załóg. Apteczki na kopalniach przekształciliśmy na ambulatoria. Opracowujemy nowy sposób naświetlania górników specjalnymi promieniami, który potrafi zrównoważyć ujemne skutki przebywania pod ziemią. Zmniejszyliśmy liczbę wypadków przy pracy. Otworzyliśmy żłóbki przy...”

„I to pan nazywa wychowaniem człowieka — przerwał inżynierowi jeden z obecnych przy naszej rozmowie dziennikarzy. — Żłóbki, nowe urządzenia techniczne, apteczki, cukier na przydziały. Co to ma wspólnego z wychowaniem człowieka? Rozmawiałem z górnikami, panie inżynierze, to są prawdziwi idealisci. Co pan zrobił dla wzmocnienia w nich ducha? Niech pan do nich nie mówi o bezpieczeństwie pracy, ale o miłości ojczyzny i szacunku

dla zawodu górnika. Niech pan budzi w nich szlachetne instynkty... „niech pan nie będzie materialistą!”

Inżynier spojrział się na nas, machnął ręką i odszedł. Warto może dodać że ów dziennikarz jest redaktorem gospodarczego pisma.

Sądzę, że ruch lewicowy w Polsce nie docenia dostatecznie wielkiej wartości naszej inteligencji technicznej. Z kilkuset żyjących inżynierów górników prawie wszyscy powrócili do pracy w węglu. Inżynierowie ci nie są ani materialistami, ani idealistami. Są inżynierami. To wszystko. Postępują zgodnie z rygorami postępu technicznego. A rygor postępu technicznego są zgodne z rygorami postępu społecznego i kulturalnego. Inżynierowie są za planowaniem i unaradawianiem przemysłu, ponieważ planowanie i unaradawianie przemysłu umożliwia racjonalny i optymalny wzrost produkcji. Wychować nowego człowieka — to zmienić warunki, w jakich żyje i pracuje. I dlatego przez wychowanie górnika rozumieją inżynierowie — żłóbki i doskonałe narzędzia, łazienki i domy wypoczynkowe, bezpieczeństwo pracy i lepszą wentylację kopalni.

„Jestem marksistą — mówił mi niedawno jeden z przyjaciół — ponieważ jestem historykiem. — Marksizm to nic innego jak uogólnienie zasad, które obowiązują w mojej pracy naukowej...”

„Bardzo mi się podoba ten wasz Minc — przywitał mnie w Katowicach jeden z moich szkolnych kolegów, młody inżynier-mechanik. — Minc rozumie, że bez zwiększenia naszego potencjału energetycznego, nic nie zrobimy w węglu. Wiesz — nachylił się i szepnął mi na ucho — on myśli prawie tak jak inżynier...”

Moi dwaj przyjaciele nie zdawali sobie dobrze sprawy, jak dalece trafili w samo sedno zagadnienia. Być marksistą — to myśleć o węglu jak inżynier, o sprawach gospodarczych jak ekonomista, a o historii jak historyk.

Jan Kotł

patriotyczny, ulegający więcej propagandzie narodowej i tradycji powstańczej, szerzonej wśród mieszczków Rzeczypospolitej przez byłych uczestników powstania listopadowego.

Jednak nie w Galicji ani w Krakowie mieścił się ośrodek polityczny życia polskiego, ale na emigracji, gdzie nurtowały wszystkie ówczesne prądy społeczne zyskując sobie licznych zwolenników i apostołów. Program społeczny polskich grup politycznych na emigracji przedstawiał bogaty wachlarz od skrajnego radykalizmu Gromad Ludu Polskiego po arystokratyczny konserwatyzm Czartoryskich. Rewolucja narodowa, przekształcenie społeczne mieszało się w tych programach tęsknoty z mistycyzmem i tak ukształtowana myśl polityczna przenikała poczęła do kraju.

Od klęski powstania listopadowego Galicja objęta była siecią mniejszych lub większych spisków patriotycznych i demokratycznych, bazujących głównie na młodzieży rwącej się do czynu. Władze austriackie tępiły je bezlitośnie a kazamaty Spielbergu i Kufsteinu zapchnięte się coraz to nowymi więźniami stanu. Stowarzyszenie Ludu Polskiego jest nam najlepiej stosunkowo znane, choćby z działalności Goszczyńskiego, Smolki, Pola i emisariusza Szymona Konarskiego. Ogólnodemokratyczna platforma polityczna tej organizacji pozwoliła na skupienie wokół niej zarówno czynników umiarkowanych jak i radykalnych.

Zabarwienie lewicowe, socjalistyczne przyszło do organizacji galicyjskich z Warszawy i poznańskiego, gdzie myśl postępową krzewili pionierzy ruchu, między innymi Edward Dembowski, Henryk Kamiński i R. W. Barwiński i inni.

Towarzystwo Demokratyczne przez Centralizację nawiązywało wówczas stosunki z grupami konspiracyjnymi w kraju, ale napotykało na opór i niechęć polityczną.

Tak było w Królestwie, gdzie Kamiński zwalczał ostro za mało radykalny program społeczny Towarzystwa. Do Galicji nie dotarło, nici były za słabe i rwały się raz po raz. Jedynie w Poznańskim zdołano utworzyć tajne komitety. Radykalna opozycja posiadała bazę masową w Związku Plebejusów Walentego Stefańskiego, obejmującym robotników i chłopów w Poznańskim i Prusach Zachodnich. Była to najbardziej radykalna grupa spiskowa, przypominająca w swym programie Gromadę Grudziądz, jeśli chodzi o kwestię własności ziemskiej, której propagowała zniesienie w momencie wybuchu powstania. Kiedy grupa ta zyskała współpracę Dembowskiego, Centralizacja Towarzystwa Demokratycznego przysłała w listopadzie 1945 swego wysłan-

nika — Heltmana, celem ujednostajnienia prac konspiracyjnych, przez połączenie obu organizacji.

Wówczas to Dembowski bawi w Galicji (1845) opromieniony mitem bohatera jako emisariusz Komitetu Centralnego z Poznania. Cała Galicja pełna jest jego. Zjawia się niespodzianie w różnych punktach kraju, nieuchwytny dla policji, konspiruje wspólnie z towarzyszami, budząc wszędzie powszechny zachwyt dla swej działalności i męstwa.

Praca nie była łatwa naskutek uprzedzeń szlachty galicyjskiej do radykalnych emisariuszy. Głową spisku galicyjskiego był wówczas były członek Stowarzyszenia Ludu Polskiego Franciszek Wiesiołowski, wypuszczony w 1836 z rocznego więzienia wraz z obecnym emisariuszem Towarzystwa Demokratycznego Teofilem Wiśniowskim.

Nastroje w Galicji dałoby się określić jednym słowem: niechęć. Aby ją przełamać posłużono się w pracy konspiracyjnej propagandowym chwytym fałszu.

Głoszono, że powstanie we wszystkich dzielnicach kraju jest doskonale przygotowane, że pozostaje tylko zorganizowanie Galicji. Twierdzono, że wojsko rosyjskie w Królestwie pójdzie za powstaniem, że kadry są wszędzie wystarczające, a poparcie zapewnione. W ten sposób zyskiwano do organizacji chwiejne, lekliwe elementy szlacheckie. Szlachta ta nie ufała Dembowskiemu, znając jego „czerwone” poglądy i wysyłała na zwiady do Poznania swego przedstawiciela. Nawet po zapewnieniu tegoż, że powstanie nie jest komunistyczne, tylko narodowe, że nie będzie uszczerbkiem dla szlachty, ta odnosiła się do sprawy bardzo podejrzliwie.

Spółeczny skład przyszłego powstania nie mógł więc obejmować jako głównego czynnika — szlachty galicyjskiej.

Czynnikami takim były warstwy ubogie, dźwierzawy, oficjalistei, młodzież miejska, inteligencja mieszczańska i robotnicy.

Tragedia powstania polegała zaś na zaniedbaniu urobienie warstwy włościańskiej, jak tego chciał Dembowski a czego obawiali się przedstawiciele interesów szlacheckich. Agitację wśród chłopów prowadził Julian Goslar, uczeń Dembowskiego a nauczyciel późniejszego współzałożyciela partii socjalno-demokratycznej w Galicji — Antoniego Mańkowskiego. Jest to postać nieznaną społeczeństwu polskiemu, prosząca się o pióro epika tej epoki. Goslar nie przebiegał w środkach. Umilowawszy sobie sprawę chłopską wydał radykalne orędzie do chłopów, strasząc ich niebezpieczeństwem demokracji, ten sam Goslar, umięziony

potem przez chłopów, wydany Austriakom, uwięziony w Kufstein, uwolniony przez Wiosnę Ludów, biorący udział w rewolucji wiedeńskiej, prowadzący potem robotę w Galicji, wydany przez rodaka, wywieziony do Wiednia i powieszony za sprawę wolności i sprawiedliwości społecznej.

100 lat temu, w roku 1845, pracował Goslar wśród chłopów w okolicach Sącza i przenikał swą propagandą nawet do górali chochołowskich.

Chłopi jednak, nie tylko nie tworzyli masowej podstawy przyszłego powstania ale byli zdecydowanie wrogo nastawieni do agitatorów Towarzystwa, wypadek Goslarski był tylko, niestety, wyjątkiem.

Nienawiść chłopstwa do wszystkiego co szlacheckie przelała się na nienawiść do wszystkiego co polskie. Szela, przysięgający zemstę polskim panom jest symbolem chłopstwa owych czasów a nie gromadka górali chochołowskich czy robotników-spiskowców z tłumackiej cukrowni. Zresztą sama szlachta potępiała agitację wśród chłopów, jak na przykład na tajnym zjeździe w Wojsławiu.

Spisek dążył do przyspieszenia powstania. Mimo wychwywania emisariuszy, Brudzewskiego i poety Berwińskiego przez władze austriackie, szlachta galicyjska, pod wpływem przyłączenia się do spisku powstańczego nawet stronników Czartoryskiego — skłonna była poprzeć powstanie.

Ta zmiana stanowiska szlachty polskiej w Galicji do sprawy powstania tłumaczy się zrozumieniem ówczesnej sytuacji jej klasy. Otóż stosunki pomiędzy dworem a wsią były już tak napięte, formy nienawiści ludu do ciemniejszej szlachty tak wyraźne, że trzeba było zapobiegać wybuchowi nieuchronnej katastrofy. Tym ratunkiem wedle mniemań szlachty polskiej byłby wybuch powstania. Koncepcja, to odzywająca się wielokrotnie na przestrzeni wieków — unikania kryzysów wewnętrznych za pomocą wojny lub powstania. Chciano przecieżyć z chwilą wybuchu ogłosić uwłaszczenie chłopów i skierować ich siły po linii walki, zbrojnego, obróconego przeciw zaborcy.

Świadomość niedostatecznej bazy społecznej dla powstania kazała Dembowskemu skierować jego agitację na robotników hłowskich, studentów i wojskowych. Wspaniały ten człowiek nie cofa się przed wstąpieniem jako szeregowiec do jednego z pułków austriackich we Lwowie, aby tam wśród żołnierzy szerzyć propagandę powstańczą. Spotykamy go potem w przebraniu lokaja na pokojach przedstawicieli wysokich władz austriackich, gdzie prowadzi sam wywiad a następnie w przebraniu żydowskiego handlarza, roznoszącego po mieście pisma organizacji.

We Lwowie napotyka robota spiskowa na opór jednego z czołowych przywódców Stowarzyszenia Ludu Polskiego — Smolki, który trzeźwo sądząc, twierdził, że powstanie bez udziału chłopów jest niemożliwe, a równie niemożliwe jest przeciągnięcie ich na stronę powstańczą, wobec tego uważa za obowiązek przeciwdziałać powstaniu. Zyskano jednak i we Lwowie poparcie czynnika szlacheckiego.

Tragedia powstań narodowych w Polsce — brak w nich udziału ludu wiejskiego, nie łącznie sprawy wyzwoleniczej ze społeczną, znalazła w przygotowaniach do rewolucji krakowskiej swój wyraz.

W okresie już końcowych przygotowań, jakie zajęły koniec roku 1845 chłopci pozyskani byli nie przez przywódców powstania, ale przez władze austriackie, świadome, że w kraju organizuje się ruch powstańczy i że jeśliby udało się jego wodzom uzyskać poparcie mas chłopskich — oznaczać to będzie dla Austrii — katastrofę polityczną. Skrócono więc 14-letnią służbę wojskową do lat 8, zyskując sobie odrazu wielką sympatię wsi, która traktowała władze austriackie jako „swoich” a panów jako wrogów. Trzeba dodać, że ów rok przygotowawczy, 1845 był wyjątkowo nieurodzajny, że nad wsią zawisło widmo śmierci głodowej. Powstanie miało więc wybuchnąć bez udziału chłopów, chłopci mieli iść przeciw powstańcom — głoszącym im wolność.

Tragiczny sens powstania krakowskiego polega właśnie na tym, że chłopci mieli wodza nie w Szeli a w Dembowskim, a poszli za Szelą przeciw Dembowskiemu. Marsz powstańców w deszczowy, ponury dzień przez Podhorze, procesja krzyżowa powstającej demokracji polskiej rozproszona strzałami Collina i śmierć Dembowskiego przy próbie ucieczki pociągają błąd kierowników powstania. Błąd polegający na fałszywym wyborze bazy społecznej rewolucji.

Skład społeczny kadr powstańczych wyświetał doskonale raport Komisji Śledczej, powołanej przez trzech komendujących w Krakowie generałów zaborczych. Komisja ta przesłuchała 1252 aresztowanych w związku z powstaniem. 991 było obywateli Wolnego Miasta Krakowa, 140 poddanych austriackich, 113 rosyjskich, 8 pruskich.

Dawnych polskich oficerów było w powstaniu aresztowanych 3, czynnych żołnierzy 26, duchownych 56 braci szkolnych zakonnych 3, uczonych i artystów 20, nauczycieli 1, uczniów 2, urzędników publicznych 33, prywatnych oficerów 110, właścicieli dóbr 18, kupców i zamieszanych mieszczan, rzemieślników 47, wyłącz-

nie majstrów, czeladników, terminatorów, służących wyrobników — 767, osób żyjących z własnego majątku 2, posiadaczy gruntów mieszczańskich i włościan 78.

Statystyka ta obejmuje tylko osoby przesłuchiwane przez sławną Komisję Śledczą. Stosunek procentowy inny jest jeśli weźmiemy pod uwagę cyfry pozostawionych w więzieniu a więc najbliższej stojących powstania. Zatrzymano do dyspozycji władz przede wszystkim biedotę miejską i drobną inteligencję.

HENRYK EILE

## Teatr w dobie Powstania Styczniowego

O ile omawiamy wpływ teatru polskiego na wypadki polityczne w 1794, 1830, 1863 i 1944 roku, to, z uwagi na układ stosunków, wchodzi w każdym wypadku w rachubę jedynie teatr warszawski.

W dobie powstania Kościuszkowskiego, w 1794 r., teatr warszawski oddziaływał na nastroje społeczeństwa przed wybuchem oraz u schyłku tego powstania. Przed wybuchem, na przestrzeni trzech dni wystawiano komediooperę Wojciecha Bogusławskiego p.t. „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale”. Ponieważ nie można ustalić kiedy odbyły się wspomniane przedstawienia trudno zorientować się, czy czynnikiem wykorzystującym teatr w celach propagandy powstania chodziło o wywołanie wybuchu w Warszawie czy tylko o przyłączenie Warszawy do wybuchłego już w Krakowie powstania. W każdym razie w nastroj, którego wyrazem była insurekcja warszawska w dniach 17 i 18 kwietnia, teatr warszawski dał wkład nie mały. W związku z powstaniem teatr zamknięto. Otwarto go z powrotem po przeszło sześciomiesięcznej przerwie, w dniu 11 października wspomnianego roku, celem „zapalenia umysłów” dla sprawy konającego ruchu. Grał przez kilka nocy wieczorów aż do kapitulacji stolicy.

W dobie powstania listopadowego, w 1830 i 1831 r., teatr warszawski oddziaływał na nastroje społeczeństwa po wybuchu tego powstania. Oba teatry, Narodowy i Rozmaitości, grały z krótkimi przerwami, spowodowanymi sytuacją wojenną, od dnia 5 grudnia 1830 r. aż do ostatniego szturm na Warszawę, t.j. do dnia 6 września 1831 r., a więc przez dziewięć miesięcy. Należały, zwłaszcza Teatr Narodowy, do czynników, które przyczyniły się do podtrzymywania i wzmagania temperatury rewolucyjnej.

Zarówno tedy w dobie powstania Kościuszkowskiego, jak i listopadowego, na nastroje społeczeństwa oddziaływało to, co się działo wewnątrz teatru: scena oddziaływała na widownię. Inaczej natomiast było w dobie powstania styczniowego. Wówczas na nastroje społeczeństwa oddziaływało to, co się działo na zewnątrz teatru, dookoła niego. Wszystko to bowiem, co łączyło powstanie styczniowe z teatrem, nie rozgrywało się ani na scenie, ani na widowni, lecz poza teatrem: chodziło o teatr.

Margrabi Aleksander Wielopolski przywiązywał wielką wagę do roli, jaką teatr mógłby spełniać w ówczesnych czasach, zarówno pod względem kulturalnym, jak i propagandowym. Za pośrednictwem bowiem teatru można było — jego zdaniem — ze sceny, a więc w sposób skuteczny, ówczesnym nastrojom rewolucyjnym, objawiającym się przed wybuchem powstania często w ulicznych manifestacjach patriotycznych, przeciwstawiać na realnej pracy i wysiłkach opartą działalność męzów stanu i wodzów na rzecz państwa i społeczeństwa. Z uwagi na to, Wielopolski dążył, by teatr warszawski wystawiał jak najwięcej utworów, o tym charakterze, t.j. jak najwięcej tragedii i dramatów historycznych. Ponadto to, zabiegał by wystawiane na scenie warszawskiej utwory posiadały pod względem poziomu i realizacji takie walory, które by ściągały liczną publiczność polską, jako też by najszersze warstwy tej publiczności miały ułatwiony dostęp do teatru. Celem zaś stworzenia podstawy dla akcji zmierzającej w kierunku zainteresowania społeczeństwa polskiego artystycznym, politycznym i społecznym zasięgiem teatru, dążył Wielopolski do objęcia ramami reformy wychowania publicznego także i teatrów.

Wielopolski przykładał do reformy teatru tym większą wagę, iż sądził, że ona da znacznie rychlej te pozytywne wyniki, na jakich mu zależało, niż podejmowana przezeń wówczas reforma szkolnictwa. Na ten temat czytamy w niepodpisanym artykule (którego, jak na to wyraźnie wskazują zapiski w nieogłoszonym pamiętniku Wielopolskiego, znajdującym się w archiwum

Tak więc na tych elementach opierało się powstanie roku 1846 i wszystkie do niego przygotowania. W wigiliję stulecia powstania krakowskiego ze smutkiem patrzymy na nasz dobytek pisarski i historyczny. Boli nas brak, niezrozumiała luka twórcza, kto sięgnie do tego przedwiośnia Wiosny Ludów, kto wydobędzie z zapomnienia wspaniałe żywoty Dembowskiego, Goslarskiego, Wiśniowskiego, Kapuścińskiego, Kamińskiego, kto odda nam Gdów i Chochołów, Spielberg i Kufstein, chłopów bijących

z nienawidzonych ciarachów i reakcyjny zamach stanu na rewolucyjną władzę krakowską, wędrowni emisariuszy poprzez kordon graniczny i krwawą procesję podgórską przeciw rabacji i austriakom.

Kto z pisarzy polskich uchwyci klasyczny tragizm losu powstania?

„Zginą, którzy nie chcą być ludźmi” mówił Dembowski a ingli właśnie ci, którzy walczyli chcieli za człowieczeństwo ludu polskiego.

Tadeusz Hołuj

rodzinnym w Chroborzu, jest on autorem) ogłoszonym w numerze pierwszym warszawskiego „Dziennika Powszechnego” z dnia 1 października 1861 r.: „W wielu też dzisiaj skutkach widzieć się daje, iż teatr w stolicy zamiast podniesienia i uczczenia ludu, zamiast działania na rozwinięcie wszystkich jego władz i uczuć, obok niedostateczności wychowania publicznego, pozostawia w umysłach próżnię opłakaną, w której rozrósł chwast obłędów i uprzedzeń. Pod tym względem reforma teatru zdaje się nam konieczną a niemniej ważną, jak reforma szkół. Działanie zorganizowanych zakładów naukowych będzie z istoty ich powolne, kształcić one będą mogły jedynie pokolenia wystąpić dopiero mające do czynnego społecznego życia; działanie sceny dramatycznej dobrze urządzonej jest doraźne, wymierzone ku ukształceniu gorącego (t. zn. biorącego udział w życiu publicznym) właśnie pokolenia ludu, co na tej drodze przez zupełność tylko sztuki dramatycznej osiągnąć może. Zmiana pod tym względem nie cierpi zwłoki”.

Te tendencje, którym przypisywano nastawienie przeciwwolucyjne, zwłaszcza że wychodziły od Wielopolskiego, łącznie z akcją kół rewolucyjnych, dążących wszelkimi środkami do utrzymania żałoby narodowej, jako znaku protestu przeciwko zachowaniu się i represjom ówczesnego rządu, sprawiły, że koła te propagowały bezwzględny bojkot teatru. Hasło to znalazło konsekwentny i niezłomny posłuch całego społeczeństwa polskiego, w następstwie czego dwa polskie teatry warszawskie — zarówno przez okres dwóch lat, poprzedzających wybuch powstania styczniowego, jak też przez cały czas trwania tego powstania — grały, nie mając polskich widzów. Na nic nie zdały się różnorodne pomysły i wysiłki rządu Królestwa Polskiego, któremu zależało na stworzeniu i utrzymaniu pozoru, że w stolicy życie płynie normalnym trybem. Niepowodzenie rządu w tym zakresie dało sukces taktyczny kołom rewolucyjnym, którym udało się przeprowadzić zupełny bojkot teatru.

W tych warunkach, o ileby nawet Wielopolski zdołał wnieść teatr warszawski na wyższy poziom, zamiarów swych w dziedzinie teatru by nie urzeczywistnił, gdyż najlepszy repertuar, najbardziej dochodowa obsada i najłatwiejszy dostęp do teatru nie zdołałyby niewątpliwie przelać negatywnego stanowiska społeczeństwa polskiego.

Prześlą ono uczęszczać do teatru bez pośrednio po pamiętnych wypadkach na Krakowskim Przedmieściu („pięciu poległych”) w dniu 27 lutego 1861 r. Następnego dnia (28 lutego 1861 r.) w Teatrze Wielkim miał być wystawiony balet p.t. „Esmeralda” oraz pierwszy akt opery Flotowa p.t. „Aleksander Stradella”. Na znajdującym się w archiwum teatralnym afiszu z tego dnia zaznaczono: „Nie było widowiska”. Przedstawienia wprawdzie wznowiono, lecz publiczność polska nie uczęszczała już więcej na nie, mimo obniżki cen biletów, następnie bezpłatnie ich rozdawania, stosowania przymusu i t.p. Świadczą o tym m. in. korespondencja z Warszawy (której autorem był członek powstańczego rządu narodowego Agaton Gillet), zamieszczona w numerze krakowskiego dziennika „Czas” z dnia 21 marca 1861 r.: „Można sobie wyobrazić, jak wyglądali artyści... zmuszeni grywać przed pustymi zupełnie krzesłami. Mówią pustymi i trzeba to zrozumieć w całym znaczeniu tego słowa, gdyż oprócz kilku na galerii osób, ani jedno krzesło, ani jedna łóża zajmowane nie były”. Podobnie donosi z Warszawy wspomniany dziennik w tydzień później: „W teatrach naszych ta sama cisza jak dawniej, nikt na nich nie bywa zupełnie”. Wobec tego w pierwszych dniach kwietnia 1861 r. oba teatry zamknięto. Otwarto je z powrotem po niemal rok trwającej przerwie. Ustosunkowanie się publiczności polskiej do teatru pozostawia jednak nadal bez zmiany. Informuje o tym poprzednio wspomniany dziennik w

numerze z dnia 14 stycznia 1862 r.: „Bez rozlepienia afiszów po rogach ulic teatr został otwarty... Publiczność do teatru zebrała z obozu i koszar. Prawie cała publiczność była w mundurach... Aktorowie, ulegając przymusowi, ledwo się znaleźli na odegraniu swoich ról. Ami jeden Polak nie był w Teatrze...”. Na następnych przedstawieniach skład widowni był już bardziej urozmaicony, gdyż spędzono na nie podlegające kontroli sanitarnej prostytutki. W sześć miesięcy po otwarciu teatrów, sprawozdanie o jednym z przedstawień w Teatrze Wielkim podaje: „Teatr w pół pustoty, w pół zapełniony ludźmi znanego usposobienia i ulicznymi...”.

Następnego dnia po wybuchu powstania, w numerze warszawskiego „Dziennika Powszechnego” z dnia 24 stycznia 1863 r., w felietonie p.t. „Przeгляд teatralny” pisze najbliższy współpracownik Wielopolskiego Miniszewski, (redaktor omawianego dziennika, autor pamfletów p.t. „Komunali”, zaszytowany z wyroku sądu rewolucyjnego): „...pomiędzy dokumentami upamiętniającymi działalność stronnictwa wywrotu... zajmuje pierwsze miejsce propaganda, odstręczająca publiczność od teatru... Bywanie w teatrze stało się zbrodnią... Ta bezrozumna opozycja, niwecząca jedną z najpożyteczniejszych instytucji publicznych, ustać musi nareszcie...”. Nie ustąpiła jednak, gdyż przez cały czas trwania powstania styczniowego publiczność polska do teatru nie uczęszczała.

Okoliczność, iż przeważna część widzów nie znała języka polskiego, sprawiła, że dawano niemal tylko opery i balety. Na nich, jak informuje jeden z recenzentów „młodzież męska w krzesłach i łóżach klaszcząc o ile jej starczy siła”. Tłumaczy się to widocznie tym, iż jak zapewnia inny recenzent warszawski „takiego zapalczywego kankana, jak na tutejszej scenie” nie widział nawet w Paryżu. Zapalczywość owa była przypuszczalnie przyczyną faktu, że, jak donosi „Dziennik Powszechny” w numerze z dnia 2 kwietnia 1864 r., na przedstawieniu baletu p.t. „Faust” tancerce Stefańskiej „holdy składane nie ograniczyły się na oklaskach tylko, ale i na darze pysznego bukietu otoczonego złotą bransoletą z brylantami. Kółko, które ofiarowało ten klejnot... spotyka wszechstronne uznania czynu, który i my chętnie notujemy”. W tym wypadku „my” oznacza redakcję dziennika, stojącego blisko Wielopolskiego, który to dziennik kruszył przecież kopie o „odrodzenie narodowej sceny” pod względem jej literackich i społecznych walorów.

Z poprzednio przytoczonej przyczyny, sprowadzono ponad to do Warszawy trupę aktorów francuskich. W dniu sierpnia 1864 r. na 17-tym z rzędu swym przedstawieniu owa trupa odegrała wesołą komedię Augiera p.t. „Syn Giboiera”. Na parę godzin przed tym, na stokach Cytadeli warszawskiej, stracono ostatniego naczelnika powstania styczniowego Romualda Traugutta i jego czterech współpracowników. Zbieg okoliczności przynajmniej oszczędził polskiemu artyście spełnienie owego wieczoru przykrego obowiązku bawienia widzów.

STANISŁAWA ZAKRZEWSKA.

\*\*\*  
Już drugi dzień nad twym łóżem,  
Już drugi raz słońce wschodzi —  
Do brzegów moich czy możesz  
Podpłynąć choć na twej łodzi?

Już drugi dzień nad twym łóżem,  
Już i dwie noce milczenia —  
Postaram się, to się może  
Z tobą myślami pomieniam.

Oboje jeszcze zbyt słabi,  
By wielką przepaść przekroczyć,  
Walczy my, ty o sylabę,  
A ja o mowę niemoty.

Gdy nagle, zwarte uściskiem  
Mędrszym niż dźwięk i milczenie  
Dłoń w dłoni — mówią nam wszystko  
O szczęściu i o cierpieniu.

ZYGMUNT SZYMANSKI

# Jarosław Dąbrowski w Warszawie<sup>\*)</sup>

Związek Komitetu Rewolucyjnego, którego brak dawał się dotkliwie odczuć w akcji, powstał latem 1861 r. Jak zwykle jednak u nas — brakło wodza. Oczy konspiratorów obracały się z utęsknieniem na szkołę wojskową w Cuneo, gdzie działał słynny Mierostawski, a także na Petersburg, gdzie jak wiadomo w Szkole Sztabu Generalnego i w tamtejszych Akademjach Wojskowych kształciło się wielu Polaków. Mierostawski jednak, od pierwszej prawie chwili toczył z Komitetem walkę. Ambitny do ostatnich granic, drażliwy i zarozumiały, oddalony od lat wielu od kraju, nie rozumiejący należycie sytuacji tu wytworzonej, podstarzały już trochę i „zasklepiony w formułach z przed 1846 r. emigrant” wynajdywał stale wady w Organizacji, zrażając sobie tym tak Czerwonych, jak i Białych.

Z konieczności więc skierowano wzrok na Petersburg. Stamtąd też na wezwanie Miejskiego, a później Centralnego Komitetu Narodowego przyjeżdża do kraju w grudniu 1861 r. Jarosław Dąbrowski.

Sztabekapitan Dąbrowski przybywa do Warszawy oficjalnie, jako kwatermistrz jednego z pułków stacjonowanych w stolicy Królestwa. Już samo stanowisko oddało odeń wszelkie podejrzenia cesarskiej policji. Okoliczność tę wykorzystuje Dąbrowski w pełni, oddając się z całą energią i właściwym mu młodzieńczym zapałem konspiracyjnej pracy rewolucyjnej.

Wkrótce po przybyciu do kraju zostaje Łokietek — tak zwano Dąbrowskiego dla jego niskiego wzrostu — obok Witolda Marchewskiego, Stanisława Matuszewskiego, Władysława Daniłowskiego i Ignacego Chmieleńskiego członkiem Komitetu Centralnego całej organizacji. Wszedł doń jako przedstawiciel Koła Wojskowych, w którym wraz z Polakami współdziałali ściśle demokraci Rosjanie (słynny Potebina, Zwierzchowski, Śliwicki).

Stosunki ułożyły się tak, że Łokietek stał się od pierwszej zaraz tygodni duszą organizacji. Łączył w sobie, zgodnie z opinią współczesnych, nadzwyczajną energię i młodzieńczą egzaltację z twórczością sądu i nieprzeciętną zdolnością oceny sytuacji. Znajomość spraw wojskowych oraz konsekwencja i pewność siebie w planowaniu zyskiwały mu zaufanie towarzyszy. Dodajmy do tego porównawczą wymowę — a otrzymamy w sumie cechy, które predestynowały Łokietka na wodza gotującego się powstania. Zdawali sobie z tego sprawę członkowie Komitetu i cenili go niezmiernie.

Wkrótce zostaje Łokietek z ramienia Komitetu Naczelnikiem Miasta, kontaktując w ten sposób władze organizacji z 4 Wydziałem Miejskim. Stawia na realnym gruncie sprawy: zaopatrzenia organizacji w broń, propagandy i funduszu pieniężnego. Z jego inicjatywy nałożony zostaje na bogatszych obywateli Królestwa podatek — i obywateli ci — dalecy zresztą od idei powstania — jedni ze strachu, drudzy dla świętego spokoju, płacą. Łokietek pomyślał też pierwszy o porozumieniu z demokratami rosyjskimi, których w Korpusie Oficerskim, a także w niższych kadrach armii carskiej przybywało z dnia na dzień. Stosunek tego elementu do wyzwolenczego ruchu polskiego był z gruntu pozytywny. Pozyskanie go dla nas miało, pomijając już wszystkie inne względy, ogromne znaczenie praktyczne, z czego Łokietek zdawał sobie w pełni sprawę. Oni wszak, jako oficerowie, orientowali się w rozlokowaniu jednostek wojskowych, znali szereg tajemnic sztabowych, których znajomość zdecydować mogła o klęsce lub zwycięstwie insurekcji. Związek oficerów-republikanów w swej odezwie do oficerów armii rosyjskiej pisze między innymi: „Bliska jest chwila gdy będziemy zmuszeni albo zająć stanowisko katów Polski, albo też powstać wraz z nią. Katami jednak być nie chcemy!”. Rosjanie — demokraci widzą ze swej strony w polskim ruchu rewolucyjnym miecz, który prędzej czy później ześnie też hydry samowładztwa, nienawistnej w równej mierze dla nich, jak i dla nas. Obiecując swą wydatną pomoc w organizowaniu powstania polskiego „żądali wzajemian zapewnienia — jak stwierdza Wł. Daniłowski — że po rozszerzeniu się powstania na kraj cały, dozwolimy im formować wolne rosyjskie drużyny republikańskie, które będą wkraczać w głąb Rosji — tam podnosić sztandar rewolucji...”.

Mimo oczywistej konieczności porozumienia opory które musiał Dąbrowski zwalczać wśród członków Komitetu celem nakłonienia ich do ściślejszej współpracy z demokratami rosyjskimi były bardzo poważne.

Najpierw więc słowo „Moskal” stało się w Polsce synonimem ucisku narodowego i całego zniechęconego systemu cara — samodzierży. Ludzie skłonni byli w tym okresie do łatwych „narodowościowych” uogólnień. Szczególnie Polska, kraj słabo jeszcze rozwinięty gospodarczo, zapóźniony pod względem ustrojowym, w którym różnicowanie klasowe towarzyszące rozwojowi kapitalizmu zaczynało się dopiero, obfitował w takie uogólnienia. Naród wydawał się być w tym czasie jednolitym organizmem, rozumiano go jako całość. Przeciwnie do przykładu Francji — narodu miłującego „prawdziwą” wolność, Rosji, gdzie wolność jest w pogardzie, wydawało się, niewymagającym uzasadnień, truizmem. Jak te „prawdziwą” wolność rozumieł poniekądrosz Francuzi: Thiers, MacMahon, Picard i inni Wensalczycy, miał się na własnej skórze przekonać właśnie Dąbrowski w dziesięć lat później...

Myśl o tym, że nie cały naród rozumie tak samo nie miała wtedy tego stopnia oczywistości, jakiego nabrała w dobie większego nasilenia przeciwieństw klasowych. Nie łatwo było przeciętnemu Polakowi odgrodzić ludzi tej miary, co Herzen, Czernyszewski, Paganin, Aleksakow — od Genetzwieiga, Merawiewa, Paszkiewicza. Trzeba było przenikliwości i trzeźwego osądu prawdziwego demokrata — Dąbrowskiego, aby różnicę między nimi dostrzec. Towarzysze jego jednak nie mogli przełamać zadawnionych niechęci.

Drugą poważną trudnością na jaką się napotykał Łokietek w swej pracy, było zagadnienie ziem wschodnich. W przeciwieństwie do całej białej części społeczeństwa, dla której szczytem marzeń pod względem terytorialnym i ustrojowym, było Królestwo Kongresowe — pragnęli czerwoni ustrojowo: Polski absolutnie niezależnej od cara, a terytorialnie: Polski w granicach z przed 1792 r. Wobec jednak istniejącej na ziemiach wschodnich sytuacji etnograficznej, był to, z punktu widzenia demokratycznej koncepcji państwa narodowego, absurd. Ziemi te zamieszkiwali Ukraińcy i Białorusini; dwory polskiej szlachty i panów tworzyły na niej rzadkie tylko wysepki. Ludom tym należało dać zupełną swobodę wypowiedzi. Hercen przyznając Polsce niewątpliwie prawo do bytu państwowego, tak mówi o sprawie ukraińskiej: „A jeśli Ukraina nie chce być ani polską, ani rosyjską? Na mój rozum rozwiązanie jest proste. Należy uznać Ukrainę jako państwo wolne i niezależne...”. To stanowisko popierał w zupełności i konsekwentnie Dąbrowski.

Praca Łokietka dawała owoce. Ruch rewolucyjny się wzmacniał. Nie na darmo Aleksander II mówił biskupowi Felickiemu w styczniu 1862 r. wysyłając go do Warszawy: „Pierwszym zadaniem tak świeckiej jak i duchownej władzy jest dziś uspokojenie umysłów, powrócenie wzajemnego zaufania między rządami i rządzone, zwrócenie ludności ku praktycznym i pożytecznym celom, czego nie podobna dokonać, nie usunąwszy, a przynajmniej nie osłabiwszy wpływu szalonych warcholów, co, czy to świadomie, czy przez nieogrodzone zaślepienie, dąży do społecznego przewrotu, który kraj cały w odmęt najgłębniejszych nieszczęść wtłoczy nie omieszka...”. Jednym z takich „szalonych warcholów” był Łokietek. On to właśnie wraz z Chmieleńskim nadał na wiosnę 1862 r. ospalemu i niezorganizowanemu dotąd duchowi prawdziwy rewolucyjny rozmach.

W pierwszych dniach kwietnia tego roku, Łokietek uznawszy, że sytuacja dojrzała (zaawansował, że był w tej sprawie kompetentny jako komendant miejski, orientujący się w stanie przygotowania spiskowców, po drugie jako członek organizacji wojskowej, po trzecie wreszcie, jako oficer sztabowy) — wytacza na posiedzeniu Komitetu olśniewający wszystkich plan.

„Wiadomo Komitetowi — mówił — że jednocześnie prawie z Organizacją Miejską zawiązała się i Organizacja Wojskowa, to jest Związek Oficerów, tak Polaków w służbie rosyjskiej pozostających, jak i Rosjan republikanów, którzy z nami się złączyli, celem wspólnego zrzućcia jarzma, jakie nas i ich ugniata. Do tego Związku należy kilkudziesięciu oficerów sprysięgłych i wiele jeszcze, którzy choć nie złożyli jeszcze przysięgi, lecz są już wesołymi do wstąpienia w stowarzyszenie... Wielu podoficerów lepiej pojmujących cele Związku przypuszczono do przysięgi. Niektórzy z oficerów dowodzących poszczególnymi kompaniami o tyle zdołali wpłynąć na swych podkomendnych że na znak dany, podniosą sztandar buntu i połączą się z powstaniem naszym.

W twierdzy Modlińskiej cała szkoła junaków, jak i część garnizonu tam konstytuującego należy już do Związku i na znak dany otworzy bramy fortecy i wyda tym sposobem, prócz najobronniejszego miejsca w Królestwie, jeszcze broń tam złożoną w ilości 70.000 karabinów i stosowną ilość amunicji. W Cytadeli warszawskiej Związek także liczy sprysięgłych oficerów i żołnierzy, którzy jedną z bram tej fortecy oddadzą powstańcom”.

Ponieważ zaś w połowie czerwca nastąpiła dyslokacja tych sprysięganych sprawie garnizonów Modlina i Cytadeli — o czym Łokietek, jako oficer sztabowy miał okazję się dowiedzieć — proponował on termin wybuchu powstania na dzień 14 czerwca, aby „ocalić te siły stworzone, które inaczej zginęłyby dla nas bezpowrotnie”.

Sam plan powstania uderzał swą prostotą i śmiałością. W oznaczoną noc miało się w domach obok Cytadeli zgromadzić około 2.000 miejskich spiskowców. Uzbrojenie ich stanowić będą rewolwery i sztylety oraz i „wszelka broń, jaką będzie w możności Komitet rozporządzić”. Podsunął się na dany znak pod bramy Cytadeli, która zostanie otwarta przez spiskowców oficerów i żołnierzy (dla odróżnienia mieć oni będą na ramionach szarfy). Wspólnymi siłami winni oni garnizon albo wyciąć, albo rozbroić. Podobne zadanie powierzy się dalszej grupie 2.000, która, przy pomocy tamtejszych sprysięganych, opanuje Modlin, gdzie leży ugrąpniona broń.

Reszta spiskowców rozdzieliłona na większe lub mniejsze grupy, uderzy na zamek, wedrze się do mieszkań namiestnika i wyższych wojskowych i zaaresztuje ich. Inni zaatakują odwazy rosyjskie i arsenał...

Członkowie Komitetu plan zaakceptowali bez dyskusji. Poczęło nawet czynić przygotowania do jego realizacji. W szeregach członków organizacji zapanowało gorączkowe poruszenie. Oto cel ostateczny całego ruchu przybierał nareszcie realne kształty. Koniec drobnych wystąpień, koniec uciążliwej konspiracji. Nareszcie walka! Ogromna większość członków spisku czekała przecież tej chwili z utęsknieniem.

Nie sądzono było jednak dojrzeć porównawczych planów Łokietka. Miał on poważnych przeciwników wśród bardziej umiar kowanych spiskowców, ludzi, których przerażała jego szybkość decyzji i radykalizm. Po początkowym zachwycie i unie sieniu temperatura rewolucyjna opadła. Dziesiątki pytań i wątpliwości legnąć się zaczęły w umysłach ludzi, niezdołnych pojąć, że każda rewolucja zawiera wszak w sobie moment ryzyka.

Giller, Majewski (członek Komitetu), Paczkiewicz, przewodzili tej grupie malokontentów. Nie wierzyli oni we własne siły, nie ufali sprzymierzeńcom. Ponieważ zaś wpływ ich nader był z początku słaby, jeśli się zdradzieckiego sposobu, aby plany Łokietka storpedować.

W końcu kwietnia otoczyli wraz z kilku towarzyszami, których potrafil dla swej sprawy skaptować, dom gdzie odbywało się zebranie Komitetu Centralnego. Pod groźbą broni zmusili go do rozwiązania się. W wyniku tego bezprzekładnego w dziejach ruchów społecznych zamachu, powołany został do życia nowy Komitet, w którym nie było już jedynego bezkompromisowego zwolennika polityki Łokietka — Chmieleńskiego i w którym on sam dużo już mniejszą rolę odgrywał.

Komitet ten rozpoczął swą pracę od ujęcia w mocno biurokratyczne ramy całej organizacji; zaopatrzył się w pieczętkę, rozpoczął wydawanie tajnego pisma „Ruch” i przybrał nazwę Komitetu Centralnego Narodowego. Stwierdził też, wbrew ocenie Dąbrowskiego, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do powstania. Udział Rosjan wydawał się mu niepewny, liczba spiskowców — mała.

Tymczasem organizacja zataczała coraz szersze kręgi, rozszerzyła wpływ swój na koła szlachty folwarcznej, przyciągnęła licznych białych, ale mimo liczebnego wzrostu, a może właśnie dzięki temu wzrosła, który rozważał rewolucyjne pierwotnie zamiary w morzu próżnej gadaniny — traciła swój ofensywny charakter, jaki nadał jej Łokietek. Powstanie odsunięte zostało w mglistą przyszłość. Kunktatorska polityka Gillera poczęła świecić tryumfy. Plan powstania, opracowany przez Dąbrowskiego runął nieodwołalnie.

Niemniej jednak nie mógł i nie śmiał nowy, pozamachowy Komitet zrezygnować z pomocy Dąbrowskiego. Był on wśród tej grupy jedynym wojskowym, i to nie przeciętnej miary. Nie sposób było obejść

się bez jego rad i wskazówek. Dąbrowski zaś, ze swej strony, mimo całej pogardy jaką czuł dla tych małodusznych „zamacchowców” zgodził się na kompromis. Z ideologicznych punktów swego programu przeforsował ustępstwo na rzecz autonomii Ukrainy i zapewniwszy sobie absolutną swobodę działania w Komitecie Wojskowym pracował nadal nad umocnieniem bojowych kadr przyszłej insurekcji.

O KCN, w którym coraz większe wpływy zyskiwali biali, wyrażał się niedwuznacznie: „Przygotować się powstania w takim stopniu jak tego żądają biali w ogóle niepodobna; zawsze będzie czegoś brakować. W rewolucji najważniejszą rzeczą jest śmiałość i szybkość działania, wakułtek czego małe na początku siły wzrastają jak lawina, to co naprzód wydawało się wprost niemożliwym do wykonania naraz się spełnia, jakby za uderzeniem laaki czarnoksiężskiej. Przykładów takich w dziejach aż nadto; najbliższy zaś i najbardziej jaskrawy to zasze przed rokiem wyładowanie Garibaldiego na Sycylii z tysiącem na wszystko zdecydowanych ludzi, a których by wszystkich białych Komitet wsadził do domu wariatów. Tymczasem zaś ci wariaci zdobyli Neapol i zmieniłi kartę Europy. Unsinn! Du siegst — powiedział poeta. A przy tym stan spisku w Królestwie bynajmniej nie jest tak opłakany, jak to się zdaje zimnym i pograżonym w egoizmie obserwatorom, nie znającym rzeczy z bliska. Polska ma pomoc w samej Rosji, gdzie się także przygotowuje rewolucja.”

Podobnie i Chmieleński, który ani na chwilę nie przestał być zdecydowanym Łokietka zwolennikiem, mówi pod adresem oportunistów: „Wasze proroki powiadają wam, że teraz jeszcze nie czas zaczynać powstania, a ja z Dąbrowskim myślę, że można. W rewolucjach potrzeba koniecznie coś ryzykować.”

Plany Łokietka, a także zacytowana powyżej wypowiedź, świadczą o ofensywnym jego taktyce. Gdyby posłuchano go, powstanie miało być nad wrógiem jedną kolosalną przewagą — przewagą nacierającą go.

Przy całym nieodłącznym od każdego powstania ryzyku, zyskałoby w ten sposób nie tyle jakie szanse powodzenia. Tymczasem zaś, po niespełna roku, gdy wybuchło nie w ataku a w obronie, nie w ofensywie a w cofaniu się — z góry skazane było na zagładę. Tymczasem, że w czerwcu 1862 r. chwila była nieodpowiednia, zostało przez historię pozbawione sensu; w styczniu 1863 r. chwila jeszcze mniej odpowiednią była.

Czy spór między Łokietkiem a Gillerem i ich zwolennikami był tylko osobistą rozgrywką? Czy był starciem dwóch poglądów, z których jeden, tylko przez przypadek, okazał się słuszniejszy? Wydaje się, że konflikt, który doprowadził do zamachu i utworzenia KCN głębsze posiadał podłoże.

Każde powstanie narodowe miało w Europie 19. w. swój sens społeczny. Sens ten, to zniszczenie przeżytków feudalizmu i utworzenie liberalno - narodowego państwa. W państwie takim, w myśl hasł głośzonych przez dziewiętnastowiecznych rewolucjonistów panowałaby wolność i z nią to rewolucjoniści walczyli i ginęli. Wolność ta, choć przez swych głosicieli rozumiana była nader szeroko, oznaczała w gruncie rzeczy; uwłaszczenie chłopów, zniesienie poddaństwa, autonomię dla miast, zniesienie barier celnych, wolność handlu itd. Wszystko to było niewątpliwym postępem w stosunku do feudalizmu, wszystko to leżało w interesie prężnej, młodej, walczącej burżuazji, wówczas jeszcze przedstawicielki radykalizmu społecznego. I jeśli klasa ta, silna na zachodzie była jak we Włoszech, Grecji, Belgii przewodnicząca narodowych rewolucji, jeśli potrafiła doprowadzić je do zwycięskiego końca — to u nas, nieliczna i słaba umiała narodowe nasze powstania zaledwie zapłodnić. Po krótkim okresie inkubacyjnym, kierownictwo przejmowała szlachta. Cierpiała i ona niewolę — w sensie narodowym, ale ciągle jeszcze była klasą panującą — w sensie społecznym. Rewolucja dawała jej wolność narodową, mogła jednak rozpaść siły zdolne obalić jej przywileje klasowe. Warstwa szlachecka brała w swe ręce ster ruchów wyzwoleniczych, ale istotne społeczne hasła tych ruchów były jej nie tylko obojętne, ale wręcz wrogie; hasła te godziły w jej żywotne interesy opierające się na feudalnych formach bytowania.

\*) Wyjątek z większej pracy o Jarosławie Dąbrowskim.

Te ścierające się dążenia przełamane przez przytłaczający ciężar taktycznych i ideologicznych leżały u podłoża wahań organizatorów powstania w Polsce.

Od maja 1862 r. jest Łokietek naczelnikiem miasta. Uparcie dąży do szybszego powstania, nie udaje mu się jednak przełamać oportunistycznego stanowiska Komitetu. Nadal pracuje w Komitecie Wojskowym w ścisłym porozumieniu z Rosjanami.

Pod koniec kwietnia w 4 batalionie strzelców celnych wykryty zostaje spisek Rosjan - republikanów, w wyniku czego Arnold, Śliwicki, Rostkowski, Nipienin, Pleczkow i szereg innych osadzonych zostaje w X. Pawilonie. Sąd wojskowy skazuje jednych na rozstrzelanie, innych na zsyłkę i katorgę. Mimo srogich kar i uprzednich męczarni, ani jeden z nich nie skłonił się zdradzie. Szeregowy Szczur, skazany na 6-krotne przejście pod batogami wzdłuż szeregu o 100 ludziach, zginął pod razami, nie wydając nikogo. Niemniej jednak wyrwa uczyniona w szeregach rosyjskich demokratów była poważnym ciosem dla szans ewentualnego powstania.

Drugi miał paść wkrótce po tym. Zgodnie z przewidywaniami Łokietka, następną w czerwcu tego roku poważne translokacje wojsk w Królestwie.

Jest to okres narastania represyj i aresztowań. Kurs w stosunku do Polaków zaostriżony się znacznie. Policja carska, zamieszana tym, że i wśród Rosjan idee demokratyczne znajdują coraz więcej zwolenników inwigiluje każdego, kto może się wydać nieprzychylny panującemu reżimowi. I Dąbrowski, mimo, że bardzo sprytny i doskonale swój udział w tajnej organizacji maskujący, zwraca jej uwagę.

Utrzymuje on żywe stosunki ze swymi kuzynkami Piotrowskimi, także członkinią tej tajnej organizacji. Oko Trzeciego Oddziału zwraca się na dom ich od dłuższego już czasu. Fakt, iż odwiedza go jakiś sztabkapitan nie zostaje oczywiście nie zauważony. To, że wychodzi zeń często w towarzystwie przystojnej pani, jak się okazuje, mieszkającej u Piotrowskich Pelagii Zgliczyńskiej, też nie uchodzi uwagi gorliwych szpicli. Jest rzeczą łatwą stwierdzić, że młody sztabkapitan to Jarosław Dąbrowski. Znaleźć naprawdę konkretne przeciw niemu dowody jest już nieco trudniej; że jest jednak kuzynem osób podejrzanych i że kocha się w rewolucjonistce, wystarczy, aby 14 sierpnia 1862 r. osadzić go w Cytadeli.

Aresztowanie Dąbrowskiego było dla organizacji poważnym ciosem. Zabrakło jego energii, jego głębokiej wiary i bezpośredniego zbawczego wpływu na jej członków. Nikt tak jak on nie umiał, z punktu widzenia wojskowego ocenić szansę insurekcji, nikt nie posiadał jego śmiałości i pewności siebie w postępowaniu. Powstanie stało się jeszcze wydawało się Gilberowi przedwczesne, ciągle mu czegoś niedostawało. Centralny Komitet zyskiwał sobie ogromną popularność i mógłby się stać poważną siłą w społeczeństwie; coż kiedy brak zdecydowanej walki z caratem zmniejszał jego znaczenie do zera. Zaprowadzano w organizacji ład i porządek, posuch i dyscyplinę — ale na tym się konspiracyjna praca kończyła.

Łokietek, acz w więzieniu, obserwuje z niesabnącym zainteresowaniem wypadki i za pośrednictwem Pelagii Zgliczyńskiej, bierze w nich nawet udział. Jeszcze w pierwszych dniach stycznia 1863, gdy sytuacja rewolucyjna narasta z dnia na dzień, dociera do KCW jego plan, w którym z zadziwiająco, jak na warunki w jakich był opracowany, dokładnością wyłożona jest myśl wzięcia Mordlina i wywołania rewolucji w całym kraju. Komitet chwycił się tego planu jak deski ratunku. Na posiedzeniu z dn. 4 stycznia przyjmują go wszyscy członkowie jednomyślnie z pełnym entuzjazmem. „Plan ten — mówią współczesny tym wypadkom Myszkowski — wydał się tak doskonałym, tak łatwym do przeprowadzenia i rokującym niechybne powodzenie, że wszyscy byliśmy olśnieni i z całym zapalem postanowiliśmy go przyjąć”.

Gdy jednak w dwa tygodnie później powstanie wybucha, nie ma go komu w życie wcielić.

Wątpliwe, czy Wielopolski, układając plan branki do wojska, obliczonej na usunięcie z kraju większej części rewolucyjnie nastrojonej młodzieży, orientował się jaką rolę odgrywał w ruchu podziemnym Dąbrowski i jaką stratę poniósł ten ruch z jego aresztowaniem. Działalność jednak tak, jakby wiedział, że KCN, choć popularny reprezentujący silną liczebnie organizację, nie ma wśród swych członków człowie-

ka, o większym zmyśle strategicznym. Zupenie jawnie stwierdzał, że najlepszym sposobem skonczenia z planami powstańcami, jest... powstanie to sprowokować. „Wrzód rewolucyjny nabral — trzeba go przeciąć” — powiadał. Wiedział doskonale, że ogłoszenie branki będzie krokiem, który wielu oburzy i który spowoduje desperacki wybuch. Wybuchu tego nie należało się — jego zdaniem — obawiać. Ar-

MIECZYŚLAW JASTRUN

## W obronie poezji

Julian Przybóś ogłasza w „Odrodzeniu” rozważania swoje o poezji „Na linii poetyckiej”. Bardzo ciekawe są jego wywody, z pasją pisane i humorem. Chciałbym, zwłaszcza, że mam bardzo odmienne na poezję poglądy i żywie długoletnią przyjaźń dla Przybósia, porozmawiać o tych sprawach z całą szczerością. Odłożę na chwilę miecz Torquemady, aby wreszcie „Tygodnik Powszeczny” przestał mnie wskazywać palcem. Zaczniemy mówić o poezji, a „puste serduszek pukać będą zachwytyliwie, owcze oczy napelnia się łzami i roziskrzy zabawą”. Czyż to słowa? To słowa Juliana Przybósia, który w ten sposób określa lirykę liryczną. „Liryka — pisze Przybóś — jest gatunkiem literackim najbardziej czystym artystycznie, nie znoszącym powtórzenia, banału, jest gatunkiem z natury swej wynalazczym i „trudnym”, tj. wymagającym od czytelnika wyostrożonej wrażliwości i wiecznie młodego serca”.

W określeniu tym jest wiele prawdy i wiele uproszczenia. Rzeczywiście liryka wymaga od czytelnika wrażliwości i serca. Czy liryka nie znosi powtórzenia? Oczywiście, nie znosi — w tym sensie w jakim nie znosi powtórzenia jakkolwiek inny rodzaj literacki. Niech ktoś napisze drugiego „Pana Tadeusza” albo drugą „Annę Kareninę”. Z „wynalazczością” jest w sztuce tak, jak w przyprawach — przepraszam za kulinarne porównanie — przyprawy w nadmiernej ilości niszczą smak potrawy. Jeśli każde wyrażenie w wierszu jest pierzynym zestawieniem pojęć lub cukrowaną metaforą, robi się nam nieswojo, niedobrze, tracimy apetyt, po prostu:

Zbytkiem słodczy na ziemi  
Jesteśmy nieszczęśliwemi.

Unikanie banału w liryce nie polega bynajmniej na sadzeniu się na niezwykłe zestawianie nieprawdopodobnych wyobrażeń; wielcy lirycy pisali czasami rzeczy bardzo proste, pozorne ograne, a jednak wydobywali z najprostszych połączeń słownych niezwykły dźwięk i światło. Heine czerpał z pieśni ludowych, wzorował się niekiedy wyraźnie na wierszach Eichendorfa i Goethego, ale wydobywał z tych samych motywów tony nowe. Wynik? Zdaje się dobry. Bądź co bądź przetrwać sto lat, bądź co bądź zwyciężyć Hitlera...

Goethego „Über allen Gipfeln ist Ruh” gra zaledwie na kilkunastu najwzyczajniejszych słowach, zestawionych tak, że — zdawałoby się dziecku umiałoby złożyć taką kołysankę, a jednak wieki przejdą, a ten wierszyk zostanie.

Mickiewicza „Połaty się lzy me czyste”. Jaka tu wynalazczość? Ogromna! ale nie ta, którą proponował papież naszej awangardy Tadeusz Peiper. Spróbujcie naśladować ten wiersz, spróbujcie! Aby te kilka słów zetknąć ze sobą, aby dać im taką ogromną siłę wzruszania serc milionów, trzeba było żyć jak Mickiewicz. Chłodna kalkulacja nic tu nie pomoże, wymyślność w poezji nie jest zaletą, choć jest zaletą w myślowości.

Albo małeńki wierszyk „Do Bohdana Zaleskiego”. — Dlaczego ten wiersz dziecinnie prosty jest arcydziełem, a dlaczego wiersze Zaleskiego, na których oświecie rytmicznej i obrazowej wzorował Mickiewicz swój utwór, są raczej słabe i nie przelkonnywujące? Nie wiem czy sposobami analizy formy otrzymalibyśmy zadawalającą odpowiedź. „Słowiczku mój, a leć, a piej. Na pożegnanie piej!”. Wyspiański mówił o Asnyku, że przypomina mu ptaka pięknego, który ma wszystko co trzeba: pióra, dziób, szpony, cóż?, ale nie poleciał. Otóż to właśnie. Przybóś drwi z Tuwima, że ten chcąc wyrazić swoją radość z wiosny, każe za swoje zdrowie palnąć kielich sarszystej gorzalki. Przybóś nazywa to „hopkowaniem”. Wcale nie jestem zwolennikiem pijackich okrzyków w wierszach, ani — mimo że pewien utalentowany, muzykolog lecz gorszy psycholog nazywa mnie terrorystą — sarszystych zaklęć i grózb, ale cóż? Znam nie byleczyste wier-

mia i policja carska będą nań należycie przygotowane. Powstanie postawione zostanie w słabej strategii pozycji: miast atakować, musiałoby się bronić.

Kiedy powszechnie wiadomym już był plan branki, KCN w nielegalnie przez siebie wydawanym organie prasowym zapewnił, że do niej nie dopuści. Była to jednak czcza przechwałka. Co prawda jeszcze wtedy spróbować można było natarcia, które

szło na ten temat. Ze przypomnę znów Mickiewicza, którego — wiem o tym — Przybóś naprawdę ceni: „Precz, precz nudy, troski! Hej, lej nektar boski”. Albo:

Ty jedna luba na świecie,  
Wspomnij gdy zginie jak lew!  
Zapomnisz — ha — czarł w kobiecie,  
Pał cię diabli — precz, psiakrew!

Przybóś ganił metodę, zamast ganić złe wykonanie, obciąża całą lirykę miernymi, a więc najgorszymi błędami liryki poetów. To tak, jak byśmy obwiniali Słowackiego o to, że go czasem miernie podrabiała Konopnicka, bo tak jak byśmy atakowali Wyspiańskiego nie za jego własne pomyłki i błędy, ale za Waśkowskiego lub dziesięciu innych imitatorów i parodianów. To samo dotyczy sprawy rytmu i rytmu. Podkreślam rytm i rytm, bo to sprawy nierozdzielne i nie przyczyni się do pogłębienia ich sztuczne rozdzielanie. Przybóś od wielu lat z humorem i niepozobawioną wdzięku stałością drwi z regularnego metrum, zwrotki, „katarynki” metrycznej. Ma rację, ale znów tylko w odniesieniu do liryki poetów. Sam zresztą z podziwem pisze o koncercie Wojskiego i — zdaje się niezależnie od Norwida — dochodzi do podobnego określenia roli rytmu. Pisał przecież Norwid: „Rym?... We wnętrzu leży, nie w kościach wierszy”, a o wierszu białym: „bezrytmowy wiersz rytmuje się na całą swą długość, nie zaś w końcowych zebzmieniach wyrazów”. Należy tę definicję uzupełnić: wiersz rymowany „rytmuje się” również na całą swoją długość, tyle tylko że nacisk pada na ostatnie zebzmienie wyrazów. Uczony radziecki L. Timofiejew tak określa istotę rytmu: „Rym jest sygnałem dźwiękowym zakończenia szeregu rytmicznego”. Tylko u miernych poetów — streszczam Timofiejewa — „pogoń za odezmem dźwiękowym przynosi uszczerbek treści”. Już Byron porównywał rym — w złych utworach — do maszyny parowej, która pozwala płynąć strofom nawet przeciw zdrowemu sensowi. To są rzeczy znane i powtarzane je tu tylko ze względu na młodzież literacką, która na skutek wojny i okupacji pozbawiona wstępnych wiadomości z zakresu stylistyki, łatwo mogłaby uwierzyć żartom Przybósia na temat rytmu i zlekceważyć rym, nie zawiadnawszy wpięć jego tajemnicami. U dobrych poetów rym współgra — o tym wie Przybóś — z całym szeregiem rytmicznym, niezależnie od swojej „nowości”. Mickiewicz unikał raczej wyszukanych rymów, by nie odwracać uwagi czytelnika od dramatu wewnętrznego, który rozgrywa się nie w zakończeniu wiersza, lecz w całym szeregu rytmicznym. Eufonia naprawdę zinstrumentalizowanej strofy nie pozwala nam myśleć o rytmie. Łańcuch dźwięków jest tak silny i tak bogo brzmiący, że rytm wynika z nich, nie jest kołowrotkową do-czepką. Dobrze zharmonizowany wiersz ułatwia ową atmosferę umowną, w której rym nie dziwi, jak nie dziwi mas fakt, że ludzie w „Śnie nocy letniej” mówią wierszem. Rytm tylko podkreśla eufonię szeregu rytmicznego. Słowo rymowane — a końcu grządkę wierszowej, podkreślone przez współbrzmienie, nabiera szczególnego znaczenia, na nie pada nacisk największy. Wystarczy przyrzeć się wierszom Puszkina, by przekonać się, że poeta naznacza rymem wyrazy ważne, niosące ciężar treściowy utworu. W białym wierszu np. Kochanowskiego („Odrpawa postów greckich”) znaczenie jest tak silne, eufonia tak cudowna, że nie czujemy braku rymów, inaczej niż w niektórych prozach Kaspro-wicza, które chcą uchodzić za wiersze.

Wybitny poeta może rymować nawet „serce w rozterce” a i tak wyjdzie obronną ręką, miernemu nie pomoże najbardziej wyszukany rym, ośmieszony go tylko. Rym — powtarzam — jest tylko częścią eufonii wiersza, nie wolno go oddzielać od całości sprawy, chyba, że będziemy demagogię wprowadzali w szeregi rytmiczne poezji. Jakość rymu wynika z jakości techniki danego poety, musi współgrać z jego sprawą

wroga mogło zaskoczyć, jeszcze wtedy powstanie miałyby szanse powodzenia — choć już dużo mniejsze niż gdyby wybuchło o pół roku wcześniej, w terminie proponowanym przez Łokietka. Komitet Centralny Narodowy nie pozwalał jednak na brankę... czekając na nią, i dopuścił do wystąpienia w chwili najbardziej po temu nie sprzyjającej, gdy została już ona ogłoszona.

Zygmunt Szymański

wewnętrzna. Rym Mickiewicza dostosowany jest do surowej nie znoszącej ozdób osnovy jego poezji. Wytworny wiersz Słowackiego nie może obyć się bez błyszczącego rymu. Tam gdzie Słowacki chce mówić „po prostu i z krzykiem” rym jego zbliża się do rymu Mickiewicza. Majakowski dlatego posługiwał się tak wyrazistym rymem, że wiersze swoje przeznaczał dla szerokiego audytorium, że chciał podnieść ich retoryczną doniosłość. To zrozumiałe. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, że dziś już nie podobna ograniczyć się do zespołu sędziwych rymów. Wprowadzenie asonansu i półrymu było dużą zdobyczą. Zaczęto jednak zbyt lekkomyślnie posługiwać się przywilejem tej mądrej wolności.

Całe brygady wierszopisów szastają beztrosko rymoidami, które nie są ani asonansem, ani półrymem, ani w ogóle nie spełniają żadnej roli w wierszu. To jest odrębne zagadnienie, o którym — innym razem.

Szanuję bardzo zamiłowanie Ważyka do rymów dokładnych i do trudnych asonansów i nie dziwię się, że wyciąga rewolwer, gdy słyszy liche barbarzyńskie rymoidy. Byłoby z pożytkiem dla młodzieży poetyckiej, gdyby autor „Serca granatu” zabrał głos w tej sprawie.

Podziwiam natomiast łagodność i dobroliwą wyrozumiałość Przybósia, kiedy drukuje wiersze swoich niudolnych naśladowców. Mnie osobiście więcej razi, gdy młody autor pokuje do małego wierszyka kilka horyzontów i widnokęgów i każe im koniecznie „wybuchnąć”, niż kiedy posłuży się ogranyimi nawet rymami.

Sprawa wyboru formy metrycznej czy wolnej, rymowanej czy nie rymowanej nie jest sprawą zasadniczą. Nie wyobrażam sobie poety, który posługiwałby się jednym tylko sposobem metrycznym. Eluard pisał obok wolnych wersów wiersze regularne, podobnie Supervielle, Rilke posługiwał się przeważnie regularnym metrum.

Walery w studium o „Adonisie” La Fontaine'a obiektywnie i precyzyjnie ocenia wartość obu metod: „Swoboda jest tak nie-cząca... Czyż można nawet odpowiedzialnie tej czarodziejce, że sprzyja niebezpiecznie niedbalstwu, kiedy tak snadnie może nam wytknąć przytłaczającą ilość wierszy bardzo złych, bardzo łatwych i strasznie regularnych? Prawda, że znajdzie przeciw sobie równą ilość wierszy szkaradnych a wolnych. Oskarżenie to lata między wrogimi obozami: najlepszą podporą jednej partii są miernoty, znajdujące się w drugiej, a tak ci do tamtych podobni, iż niewytłumaczony jest, że się między sobą różnią... Innej rzeczy się dziwię. Epoka nasza widziała narodziny tyłu niemal prozodyj, ile liczyła poetów, to jest trochę więcej systematów niż głów, bowiem niektóre mogły stworzyć ich kilka. Ale w tym samym czasie nauki jak i przemysł, prowadząc politykę zgoła odmienną, stanowiły sobie miary jednolite”. (Przekład Jana Mieczysławskiego).

Dzisiaj spierać się o tę czy inną formę rytmiczną, o ten czy inny rym? Nie, nie cofniemy się do dyskusji parnasów.

STANISŁAW JERZY LEC

NOTATNIK  
POLOWY  
POEZJE

Zł 30.-

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH  
KSIĘGARNIACH  
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA  
„KSIĄZKA”

CELINA BOBIŃSKA

# Notatki o Leninie

„Polityka Polski jest na skutek długiego ucisku ze strony Rosji polityką całkowite narodową, i cały naród polski nawskroś przesiąknięty jest jedną myślą o zemście nad Moskalami. Nikt tak nie uciskał Polaków, jak naród rosyjski. Naród rosyjski był w rękach carów kałem niepodległości polskiej”. (Lenin w maju 1917 roku.)

Piętnując wszystko, co było związane z caratem, co było wobec niego uległym, ugodowym, szczylił się Lenin dorobkiem narodu rosyjskiego, przejawami geniuszu ludowego, planami wielkiej tradycji kulturalnej i rezultatami walki społecznej. Do robek swego narodu zazdrośnie lecz obiektywnie zestawiał z dorobkiem innych narodów.

Lenin lubił błąd i spokojną rosyjską przyrodę, umorusane dzieci wsi rosyjskiej, skupionych w sobie, małomównych i wiecznie domagających się „prawdy” chłopów rosyjskich.

On wydał bezlitosny obiektywny sąd o rosyjskiej „niewolniczej rzeczywistości”.

On napiętnował zacofanie, „barbarzyństwo”, jak lubił mawiał, starej Rosji. On to najwięcej pisał o potwornych przejawach władzy caratu nad Rosjanami i innymi narodami. On to okrzyknął Rosję „więzieniem narodów”.

Obserwator życia, w latach emigracji, zdołał poznać i zrozumieć Europę. Umiał przecieć trafić do każdego: do angielskiego i niemieckiego robotnicarza, do rybaka włoskiego, do tatrzańskich gór. Z naczynych codziennych spostrzeżeń wypyły wnioski o zacofaniu kulturalnym, cywilizacyjnym wsi rosyjskiej, o jej niskim poziomie życiowym, oraz o specjalnej, wyjątkowej w porównaniu z Europą rewolucyjności i harcie rosyjskiego robotnika.

Wśród południowego przepychu Capri smętnie i zazdrośnie wzdychał: „Za mało znam Rosję! Symbirsk, Kazań, Petersburg, zsyłka — ot i prawie wszystko!”.

Całymi dniami gawędząc z rybakami włoskimi, stwierdzał potem z dumą: „Nasi rybacy pracują sprawniej”. I nie znajdując potwierdzenia dla tych słów u Gorkiego, podejrzliwie dopytywał go: „Czy wy czasem nie zapominacie Rosji mieszając tutaj, na tym guzie?”.

Gorkij pisze: „Często zauważyłem w nim dumę z Rosji, z Rosjan, z rosyjskiej sztuki. Czasem zdawało mi się to dziwnym u Lenina, obcy mi i nawet naiwnym ale potem nauczyłem się wyczuwać w tej dumie wstydlive echo głęboko ukrytej radosnej miłości do ludu rosyjskiego”.

Gorkij w swych wspomnieniach o Tolstoju przytacza słowa Lenina: „Co za bryła! Co za olbrzymie człeczyszczel! Oto mi artysta. I — wiecie, co jeszcze jest zdumiewające w nim? Jego chłopski głos, chłopska myśl, prawdziwy chłop z niego. Przed tym hrabią nie było prawdziwego chłopca w literaturze. Nie był!”.

„I potem, spoglądając na mnie azjatyckimi oczkami, zapytał: „Kogo w Europie można postawić obok niego?”. Sam sobie odpowiedział: „Nikogo”.

„I zacierając ręce, zaśmiał się zadowolony, mrużąc oczy na słońcu, jak kot”.

A swą dumę narodową rosyjską Lenin — najzacięty wróg wszystkiego, co było zmorem starej Rosji, sformułował w czasie wojny imperialistycznej w swym artykule „O narodowej dumie Wielkorusów”. Wtedy Lenin i jego towarzysze głosili porażkę carskiej Rosji i uważali, że porażka będzie wygrana narodu rosyjskiego. W odpowiedzi na ogłoszenie ich za zdrajców i niemieckich agentów, Lenin wydrukował znakomite cedro patrioty-demokraty, patrioty-rewolucjonisty.

Czytając ten króciutki artykuł, wyczuwamy uderzające pokrewieństwo jego z ideową postawą wielkich Rosjan XIX wieku, którzy szli na szubienicę, pod pręgierz, głosząc rosyjski ludowy patriotyzm i równość, wolność dla wszystkich gnębionych narodów, a przede wszystkim dla Polaków.

Lenin pisze w swym artykule:

„Czy obce jest nam, wielkorusyjskim świadomym proletariuszom uczucie dumy narodowej? Oczywiście — nie. Kochamy swój język i swoją ojczyznę pracujemy najwięcej nad tym, by jej masy pracujące (czyli 9/10 JEJ ludności) podnieść do poziomu świadomych demokratów i socjalistów. Najbardziej nas boli, gdy widzimy i czujemy, jakim gwałtem, uciskowi i szykanom poddają naszą piękną ojczyznę carscy kaci, szlachta i kapitaliści.

Jesteśmy dumni, że gwałty te wywołały odwrót w naszym środowisku, w środowisku Wielkorusów, że to środowisko dało Radiszczewa, Dekabrystów, rewolucjonistów — rżnoczyna-

ów lat 70-tych, że wielkorusyjska klasa robotnicza stworzyła w roku 1905 potężną rewolucyjną partię mas i wielkorusyjski chłop zaczął w tym czasie stawać się demokratą, zaczął obalać klechę i obszarnik”.

Lenin ogłosił walkę przeciw wszystkim przekłętym, hańbiącym tradycjom niewolniczych rządów i pasywnej chłopskiej uległości wobec caratu. Wspominając słowa Czernyszewskiego, idącego na katorgę: „Nędzny naród, naród niewolników, od góry do dołu sami niewolnicy” — Lenin z dumą stwierdza:

„Jesteśmy pełni poczucia dumy narodowej, bowiem lud wielkorusyjski RÓWNIEŻ stworzył klasę rewolucyjną, RÓWNIEŻ dowiódł, że zdolny jest dać ludzkości wielkie wzory walki o wolność, o socjalizm, a nie tylko wielkie pogromy, las szubienic, katownie, wielki głód i wielkie upodlenie się przed klechami carem, obszarnikiem i kapitalistami”.

Lenin dążył do porażki wojującej Rosji właśnie dlatego, że w imperializmie carskim widział nowe wydanie, przedłużenie starej feudalnej niewolniczej tradycji, dlatego, że wojna była połączona ze spętaniem ucisku narodowościowego.

„Jesteśmy pełni uczucia dumy narodowej i dlatego właśnie SZCZEGÓLNIENIE nienawidzimy swej niewolniczej przeszłości (kiedy to szlachta obszarnicza prowadziła na wojnę chłopów, by dusić wolność Węgier, Polskę, Chiny) i swojej niewolniczej teraźniejszości, kiedy ci sami obszarnicy ze współdziałaniem kapitalistów prowadzą nas na wojnę, by dusić Polskę i Ukrainę, by obalić ruch demokratyczny w Persji i Chinach, by wzmocnić bandę Romanowych Bobryńskich, Puryżkiewiczów, hańbiących naszą wielką cześć narodową”.

I właśnie w imię interesów „dziewięciu dziesiątych ludności”, które carat „hańbi i poniża”, ucząc je „uciskać obce narody”, właśnie w imię dobra tych obcych narodów — Lenin propaguje klęskę carskiej Rosji. A w odpowiedzi na możliwy argument, że przecież w carskiej Rosji rozwija się gospodarczo postępowy, centralizujący kapitalizm i że dla socjalisty grzechem jest zwalczać postęp kapitalistyczny, — Lenin odpowiada, iż marksściści nie mogą występować w obronie reakcyjnych kapitalistów rosyjskich, budujących swą potęgę na krwi i pocie małych narodów i że właśnie rozwój kapitalizmu, który potęguje ucisk narodowy, kolonialny, wymaga od konsekwentnych demokratów i socjalistów „wychowania robotników w duchu najzupelniejszej równości i braterstwa narodów”.

I tu Lenin nawiązuje nie tylko do tradycji wielkich rosyjskich demokratów, ale i do tradycji Marksa i Engelsa. W warunkach ucisku wielkorusyjskiego powtarza on hasło rzucane niegdyś przez Marksa w obronie Irlandczyków przed uciskiem angielskim: „Nie może być wolny naród, który uciska obce narody”.

A więc demokratyczny uczciwy patriotyzm, patriotyzm nie posiadający żadnych naleciałości szowinizmu, patriotyzm postępowego człowieka z pośród narodu wielkomocarstwowego, uciskającego inne narody, musi według Lenina łączyć się z czynną walką o wyzwolenie narodów uciskanych przez Rosjan.

Jeszcze jedno jest nadzwyczaj ciekawe: sprawę robotniczą, losy skutecznej walki o interesy klasy robotniczej, o dalszą socjalistyczną rewolucję, Lenin ściśle wiązał z walką robotników o demokrację narodową, o równość dużych i małych narodów, wiazął z owym czynnym demokratycznym patriotyzmem. Lenin wielokrotnie wskazywał, jak niebezpieczny dla postępowych demokratycznych mas narodu jest „jad nacjonalizmu” reakcji kadeckiej i bardziej szczerzej reakcji oktyabrystów. Ten jad zatruwał „całą ogólnorusyjską atmosferę polityczną”.

Wielokrotnie i z naciskiem stwierdzał Lenin, że pycha narodowa, pogodzenie się z rolą narodu-pana, narodu-żandarma demoralizuje, użył nawet słowa — „prostytuuje” — ruch robotniczy. Taki ruch robotniczy nie może już prowadzić konsekwentnej walki o demokrację i socjalizm. A przede wszystkim klasa robotnicza, nie zainteresowana materialnie i politycznie w zdobywczach wojaczkach nacjonalizmu rosyjskiego, mogła według Lenina skutecznie i konsekwentnie przeciwstawić się „jadowi nacjonalizmu”.

Lenin propagował solidarność robotników różnych krajów. Nikt tak jak on nie nienawidził pustego frazesu. Każda teza Lenina — to wyciąg z konkretnych życiowych zjawisk. To też dla Lenina między-narodowa solidarność robotnicza nieodłączna była od poszanowania dumy narodowej, patriotyzmu krajów słabszych i uciskanych. Nieustanna walka o wyzwolenie

tych małych narodów Europy i wielkich ujarzmionych narodów kolonii, bezwzględny szacunek do uraz narodowych (np. polskich), do pragnień i dążeń niepodległościowych, tych uciskanych narodów, były dla Lenina jedną z zasadniczych cech polityki robotniczej. Od rozwiązania spraw narodowych, Lenin uzależniał rzeczywiste braterstwo robotników.

Głosząc swe poglądy w kwestii narodowej, Lenin zawsze mówił o Polsce lub z powodu Polski i najczęściej uciekał się do przykładu Polski. Polska w jego oczach zawsze była najjaskrawszym przykładem i argumentem bezsensu i barbarzyństwa wielonarodowego imperium.

Dlaczego właśnie Polska zajmowała takie miejsce w leninowskiej walce o wyzwolenie narodów?

Po pierwsze gdy Lenin mówił o feudalnym charakterze ucisku narodowego, o jego społecznej reakcyjności i gospodarczym wsteczniactwie, gdy wskazywał, że feudalna Rosja uciska na zachodzie narody bardziej posunięte w rozwoju kapitalistycznym — przede wszystkim miał na myśli Polskę z jej szybko rosnącym przemysłem, z jej świadomym i bojowym proletariatem. Ilekroć to razy w czasie rewolucji 1905 r. z dumą stwierdzał przodującą rolę proletariatu Łodzi i Warszawy w tych lub innych rewolucyjnych bitwach!

Po drugie spór w sprawie obowiązującego rewolucjonistów popierania wyzwolenczej walki narodu polskiego, obrona hasła niepodległości Polski, — wszystko to nie było sporem bezprzedmiotowym, lecz realną i wieloletnią polemiką z najbardziej rewolucyjnym odłamem polskie go socjalizmu, z Różą Luksemburg.

Lenin dowodził, że żądanie Polski do niepodległości, jej ruchy wyzwolencze od bijają naturalny rozwój historyczny kraju, kroczącego po drodze kapitalistycznego rozwoju, lecz hamowanego przez absolutystyczny - feudalny system rządów carskich które to pęta coraz boleśniej odczuwają coraz to szersze i głębsze warstwy narodu. Przytacza Lenin przykład zjednoczenia Polaków w walce z nacjonalizmem pruskim, zaawansowanie w ruchu narodowym obok szlachty i burżuazji masy chłopskiej i mówi, że taki sam proces nieunikniony jest i w zaborze rosyjskim.

Ruch robotniczy socjalistyczny nie może negować najistotniejszych dążeń narodowych bez ryzyka przeciwstawienia się narodowi.

Lenin popierał socjaldemokratów polskich z Różą Luksemburg na czele, radził im i uczył ich właśnie dlatego, że ten ruch uważał za reprezentujący interesy polskie go proletariatu, gdyż tylko ten ruch głosił solidarność z robotnikami rosyjskimi, walkę z caratem wspólnymi siłami. Lenin w ślad za postępowymi demokratami Rosji, dekabrystami i Hencenem, a także władz za najlepszymi Polakami Lukasińskim, Dąbrowskim, Waryńskim uważał, że skuteczną walką z caratem może być tylko walka wspólna. Lecz zdawał sobie sprawę z tego, że aby walka ta była zgodna aby w niej panowało zaufanie ze strony uciskanych polskich robotników, do robotników uciskającego narodu rosyjskiego — musi w tej walce znaleźć swoje miejsce hasło usuwające niebezpieczeństwo rosyjskiego nacjonalizmu, dające całkowite zadośćuczynienie wolnościowym dążeniom Polaków, hasło niepodległości Polski, jej prawa do samookreślenia narodowego, do całkowitego usamodzielnienia się państwowego. W tej walce z caratem o niepodległość Polski widział Lenin rekojmie solidarności obu narodów a także środek przeciwko ślepeму szowinizmowi reakcji polskiej wpajającej Polakom podejrzliwość i wrogość względem wszystkich Rosjan.

Ta konsekwentna pozycja w sprawie niepodległości Polski nie była tylko rezultatem suchych i sprawiedliwych rozważań wodza rewolucji i teoretyka. W słowach Lenina w stosunku do Polski zawsze przebijał głęboki szacunek dla wyzwolenczej i rewolucyjnej walki narodu polskiego, dla jego dojrzałej kultury i nieugiętej postawy.

Dzięki swej żonie N. Krupekowej (matka jej była Polką) kultura polska nie była Leninowi obca. Dobrze czytał po polsku i dokładnie interesował się socjalistyczną literaturą polską. Na zesłaniu, w więzieniach zbliżył się z „politykami” Polakami, tym twardym ideowym pokoleniem, co dojrzały już za czasów „Proletariatu” — tak bogaty dało plon w 1905 r. Siostra Lenina A. Ulianowa opowiada, że po

powrocie z zesłania Lenin pasjami lubił śpiewać rewolucyjne polskie piosenki, których nauczyli go Polacy, szczególnie zaś: „Szaleńcie tyrani”, „Warszawiankę”, „Czerwony Sztandar”. Ulianowa pisze w swych wspomnieniach: „Wyraźnie pamiętam Włodkę, gdy chodził wpoprzek naszego małego stołowego pokoju i wywodził z zapalem:

„A kolor jego jest czerwony,  
Bo na nim robotników krew”.

Zachwycał się rewolucyjnymi pieśniami polskich robotników i mawiał, że trzeba takie same stworzyć dla Rosji”.

Na początku wojny światowej Lenin trafił do Poronina i do Krakowa. Pobyt w „austriackiej kozie”, a potem naprzężona praca w związku z konferencją partyjną — to wszystko nie przeszkadzało Leninowi w studiowaniu i wchłanianiu potocznego życia polskiego społeczeństwa. Lubił Kraków, a szczególnie Stary Rynek. Wywalczył sobie prawo codziennego chodzenia rano na rynek po kwaśne mleko. Wesoło chwalił się, że już umie porozumieć się z babami na rynku. To też nie przepuszczał okazji do pogadań z nimi o tym i owym, gdyż specjalnie interesowało go życie wsi podkrakowskiej.

Umiejąc jak nikt wczuć się w sytuację i przeżycia narodów i ludzi, wielokrotnie ujawniał zrozumienie narodowej ambicji Polaków. Przyczynę tego widział w tym, że „naród rosyjski był w rękach carów kałem wolności Polski”.

To też może nikt tak jak Lenin nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długie i ciężkie będzie leczenie starych polskich urazów względem Rosji. Jedyną skuteczną drogą do ich zlikwidowania widział w nieustannym, nie tylko w słowach, ale i w czynie, dążeniu robotników rosyjskich do niepodległości Polski, w wieloletniej i cierpliwiej polityce braterstwa i lojalności ze strony najbardziej postępowych, demokratycznych warstw obu narodów. To właśnie on położył węgielny kamień pod gmach przyszłej przyjaźni, gdy w pierwszych miesiącach istnienia republiki Sowieciów ukazał się dekret wienający 20-letnią „polską politykę” Lenina. Dekret ten głosił całkowitą wolność narodu polskiego, prawo decydowania o swym losie, dekret ten potępniał i przekreślał politykę zaborów i ucisku Polski.

Celina Bobińska

JULIA HARTWIG.

## Daleko

Rozgrzany język morza sunie aż do brzegu  
i sychać krzyk namiętny szubujący nocą.  
Rano unosi go na skrzydłach mewa,  
zanim przestraszy się kaszubskie dziewczę  
okrętów wielkich, gdy jak krowa wylażą  
na piach.  
Z górskiego szatasa, jeszcze ciepły od ow-  
czego sna  
odkrzyknij, młody! Zatoczy się gwał-  
ostym łukiem od brzęku powietrza,  
pochwyci orzeł milczenie pod suchą wy-  
wą skal.  
Tam nad szczytów ogniskiem zatańczą gó-  
goraliki  
na zachód, na wschód, na wiatr.

Drogą konik drewniany cwałuje niosąc bez-  
tchu  
niemowlę mojej wyobraźni,  
nie wiadomo jeszcze: chłopaka, czy dziew-  
czynę.  
Ogonem buszuje w Podhaju  
ibem chlepcze wodę w Bałtyku.  
Ustatkuj mi się koniu, uczłowiecz!

## Ballada zimowa

Gdzie za kieratem cztery wiatry szły  
w sam środek zając wpadł.  
Zgubiły zapach gonące go psy,  
tu ni za wiatrem, ni pod wiatrem.  
Zadymiły w biegu śnieżyca.  
— Kto idzie, stój! — krzyknął wartownik  
nadstawiając broń  
i wąsy miał zbielele ze szronu, jak z prze-  
rażenia.

A to tylko wyprzęgnięty jeden wiatr  
szeleści w suchym badylu  
i bez śladu po śniegu siedzi.

Śmida się żona zajączka z kotliny  
sygnalizując uszkami  
tuż przy kolejowym torze.

STANISŁAW LEM

# Placówka

Mały Szloma dowiedział się pierwszy. W jaki sposób — nie wiadomo do dnia dzisiejszego. Było jeszcze szaro, kiedy zatomotał piąstkami do krzywych, drewnianych drzwi, które otworzyły się szybko i wchłonęły jego ciemną, chudą sylwetkę.

Coś tam poszeptał z ojcem i w cuchnącej wyziwami ciał i resztkami ekscytych potraw izdebce wszczął się ruch. Stary Grinberg wyskoczył z łóżka, przedkimi ruchami wdziewał spodnie, obaj jego synowie dopinali już guziki ubrań, a wszystko to odbywało się w umyślnym milczeniu, bo każdy głośniejszy ruch, czy słowo tłumili stary wściekłym syknięciem i gwałtownym wymachiwaniem sekatej łapy.

Kiedy stary ubrał się, a Grinbergowa włożyła do podręcznego koszyka trochę prowiantów, Grinberg wyjrzał ostrożnie na korytarz. Przez boczne, wysoko umieszczone okienko peńki się najczystszy, przeświełający od wnętrza błękit wstającego dnia. Korytarz leżał szary, zakurzony i cichy.

— Można — syknął stary. Ruszyli gęsiego, w kierunku przeciwnego mieszkania parterowego.

Grinberg zapukał ostrożnie i cicho do drzwi, zbitych niezręczną stolarką z szorstkich desek. Potem drugi raz, głośniejszym i niecierpliwym.

Drzwi zapuszczają, uchyliły się i z ciemniejszej szpary wyjrzała rozczochrana głowa starego introligatora Wajnsztajna. Oczy jego, jeszcze zamglone i ciepłe od snu zamruwały szybko czerwonymi powiekami.

— Co się stało?

— Cicho — szła — stary odsunął Wajnsztajna i pchał się do środka; za nim tłoczyli się synowie.

Introligator dopadał ciągle Grinberga, chwycił go za rękaw surduta, gdy tymczasem w mieszkaniu, natłoczonym gęsto łóżkami, wszczął się ruch, dzieci pieszczęły i skomlały, wystraszone ze snu, ale Grinberg uciszał wszystko ostrym błyskiem swego niebieskiego spojżenia.

Akcja jest! — powiedziała, i zdławiony lament wybuchnął z nową siłą. Ludzie wyskakiwali z łóżek, trzęsącymi się rękami chwytali niepotrzebne łachmany, bezsensownie otulali się w koce, żona introligatora chwyciła najmłodszego dziecko i jak kams zwierzęciem, kurczowym ruchem przycięła je do piersi.

Tymczasem Grinberg przystąpił do wielkiej szafy stojącej w rogu pokoju, otworzył ją i zaczął wyrzucać na podłogę ubrania, toboły, zmiętą bielzonę, aż dotarł do dna. Wtedy obrócił się, spojrzawszy w pochylone plamy otaczających go ciasnym kręgiem twarzy i nacisnął deskę. Drewniane dno szafy uniosło się bokiem, zachrobotało kilka cegieł i ukazał się czarny prostokąt pustki, która zawiązała wilgotnym, pianicznym chłodem.

Stary wsunął się do połowy w otwór, na osłep wyczuł nogami szczeble przystawionej drabiny i począł schodzić. Szczeble skrzypiały i gięły się — wreszcie stopy dotknęły gruntu. Trzasnął kamyczek żalniczką.

— Żółtawy plomyk oświetlił cztery ceglane ściany, zamykające niewielką przestrzeń. Był to narożnik piwnicy, odciętej od jej reszty wzniesionym sztucznie murem, zamknięty ślepo ze wszystkich stron. W stropie piwnicznym, który był zarazem podłogą mieszkania Wajnsztajna, widniał zębaty, niewprawną ręką wybity otwór, kruszący brzegami czerwonej cegły.

Teraz z góry zaczęto podawać jakieś toboły, paczki, zawiązki, kilka krzesel. Grinberg zapalił przytwierdzoną do stołu grubą świecę i gospodarował na dole, układając wszystko systematycznie, gdy synowie i introligator pomagali mu, wsuwając przez wąż poszczególne przedmioty.

Ale nagle praca ta urwała się jakoś i zamocila — stary podniósł głowę, nad otworem nie było nikogo. Nie ział on też pustką: widocznie zamknięto dno szafy deską. Usłyszał dochodzące z góry niewyraźne głosy, potem jakby szamotanie się i zdławiony krzyk.

Wszedł na pierwszy szczebel drabiny. Wtedy dno szafy odsłoniło się nagle i wściekła, blykająca iskrami światła w kropkach potu twarz grubej piekarkowej z pierwszego piętra zatańczyła przed jego oczyma.

— Ach wy złodzieje — wy bandyci! — wy bandyci! — zanosiła się wrzaskiem, wyrzucając się ludziom, którzy daremnie usiłowali ją odciągnąć wstecz.

— To wyście myśleli, że ja nic nie wiem? Niech wszyscy wiedzą, niech cała ulica wie, że zrobiłście sobie kryjówkę, żeby się ratować, a inni niech zdychają... Grinber wychodził na górę, wypychając

piekarkową. Nareszcie stali wszyscy w zbie.

— Cicho — zaczął, ale kobieta nie przestawała krzyżeć.

— Cicho — wrzasnął wreszcie, widząc, że nie da sobie z nią inaczey rady. Odrazu umilkła.

— O co chodzi? zaczął sztucznie spokojnym głosem Grinberg. Kto zrobił kryjówkę? Ja. Ja wymurowałem ścianę w piwnicy, ja wypłowałem podłogę, ja zrobiłem dziurę, wszystko ja... ale ile będzie miejsca, tyle ludzi się schowa. Sam chciałem iść po panią, słowo daję, tłumaczył, mrugając pośpiesznie małymi, niebieskimi oczkami.

Piekarkowa odrazu się uspokoiła.

— To ja idę po męża — zawołała, i wybiegła.

— Cicho — cicho szła, na miłość boską, nikomu nie mówić — zawołała z nią Grinberg, ale już jej nie było.

Teraz, kiedy byli znówu sami, Grinberg popatrzył z niemą wściekłością na twarze otaczających.

— Psia krew — powiedział — ktoś wygadał. To ładna kryjówka: każdy o niej wie...

Wszyscy milczeli.

— Panie Grinberg — zaczął ostrożnie Wajnsztajna — może ktoś z pańskich klientów?

— Kto z moich — co z moich? wsiadł na niego ochryplym wrzaskiem stary.

Grinberg był złodziejem. Proceder swój uprawiał od lat. Nie kradł nigdy w komieńczy, w której mieszkał; od czasu przybycia Niemców z zawodem swoim się nie tał wiedząc, że jako nieinteligent większe ma szanse na przetrwanie, niż każdy inny lokator. Prócz tego, w wierze tej krze pił go „zajomi” i „koledzy” ze strony aryjskiej. Stojąc w drzwiach swego mieszkania, wysuwał zazwyczaj nogi aż do połowy korytarza i w odpowiedzi na niecierpliwe uwagi lokatorów, śpieszących do pracy, uśmiechał się ironicznie, krzywo, milcząc.

— POCO mam pracować, jak ja mam klucze od całego Lwowa? Teraz jednak dowcipnemu Grinbergowi nie było wcale do żartów.

Zły i zdenerwowany latał po ciasnym mieszkaniu starego introligatora, wyglądając co chwila przez okno za wieszane ręcznikami.

Ulice były jeszcze puste, tylko pojedynczy przechodnie migali pod murami, śpiesząc szybkim, głośnym krokiem.

Znowu ktoś zastukał. W szparze drzwi ukazała się czerwona, tłusta twarz piekarkowej, — rozczochrana, czarny łeb jej męża, a za nimi... Grinberg zamarł.

Prawie cała kamienica: wszyscy mieszkańcy dwu pięter z tobołami, dziećmi, rzeczami stali, tłocząc się i popychając, w rozszerzonych oczach włączając strzępy strachu i grozy. Każdy miał własną, inną, a jednak wszystkie razem łączyły się i zespalały w jednym pożądaniu życia.

Poczęły się targi, krzyki, przekleństwa i klótnie.

Wreszcie wzniosł się ostry, piejący dyszant. Ktoś wrzeszczał:

— Co, ty chcesz ratować, ty złodzieju, a mnie mają wywieźć na mydło? a niedoczekanie wasze! jak tylko przyjdą Niemcy, zaraz powiem, gdzie jest kryjówka!

W oczach Grinberga zapęgało światło mordy. Ale był bezsilny; odepchnięty na bok, z wściekłością i rozpaczą patrzył, jak ludzie przelażą przez próg szafy, jak gromią się i pakują do środka, jak w kwadracie przestępni, mierzącej nie więcej, niż trzy kroki na dwa, robi się coraz ciasniej i tłoczniej, jak wyrzucają na górę krzesła, bo już nie ma miejsca dla siedzących, jak za kreszami lecą toboły — a ludzie tłoczą się i pchają żeby więcej, żeby gęściej, a tu nowi idą jeszcze, i idą...

Stary popatrzył w dół.

Chwalało się tam w żółtawym świetle morze głów, wiał ostry odór spoconych, niemytych ciał.

Kiedy kilka osób zostało jeszcze na górze, ktoś powiedział:

— No dobrze, a kto zamknie szafę?

Tak, kto zamknie szafę?

Trzeba ją było zamknąć od góry: najpierw układało się wyjęty kwadrat cegieł, potem drewniane dno, a wreszcie należało zamknąć drzwi.

Puste strachem twarze spojrzwały na siebie. Wzrok nie znajdował oparcia. — Nie trzeba — może to się da jakoś zamknąć? — powiedział ktoś z dołu.

— Niel — Grinberg cieszył się już i swoim i cudzym nieszczęściem. Roznosiła go wielka, męciwa radość. Jakiż on zrobił kryjówkę na sześć osób, a pakuje się do niej trzydzieści...? nie...

— Macie, dranie — myślał, i ze złą uciechą mówił: jeżeli się nie zamknie szafy, to wszystko na nic. I dno trzeba założyć: z dołu nie można. Zapadła cisza.

— Panie Fisz, pan ma dobry „ausweis”, zaczął ktoś, ale zagadnięty już znikł, już pakował przemocą nogi w otwór, już trząsał się jak galareta.

— Samemu zostać na górze...?

Grinberg włożył głowę do szafy:

— Wylazcie tam, zawołał, i tak nic z tego nie będzie. Nie ma komu zostać na górze: nikt nie chce, a szafę trzeba zamknąć. Nie macie się co cisnąć i robić pod siebie.

Ludzie poruszyli się, błysnęli w górę spoconymi wargami, ale milczeli. Stary wpadł we wściekłość:

— No, co siedzicie, bydlaki, jeden z drugim, jak woly?

Milczenie napięło się, steżało. Rozległ się daleki i słaby jeszcze strzał. Ktoś pisnął:

— Już się zaczęło.

— No? — Grinberg palił tych na górze spojżeniem złych, świecących oczu. — No co będzie?

— Losy trzeba ciągnąć — powiedział ktoś.

— Losy? poco losy? jak go wezmą, to i tak nas wszystkich wyda, żeby siebie ratować — powiedziała piekarkowa.

Cisza. Naraz rozległ się z kąta głos:

— Nie trzeba żadnych losów... ja zostanę na górze.

Wszyscy zwrócili się w kąt.

Ach, to Chana siedziała tam, mała, ruda Chana. Kulawa dziewczyna, która nosiła po uliczkach ghetta wielki kosz pełen bułek, precli, rożków, i lepkich kolorowych cukierków.

— Ja zostanę — powiedziała. Podniosła się ze stołka, na którym przysiadła i powłócząc krzywą nogą wyszła na środek.

Oto nadeszła chwila, jaką sobie wymarzyła, kiedy siedząc na oblepionym blokiem kamieniu ulicznym pilnowała swego kosza, zapadając się wzrokiem w tafle szklisto-zielone kaluż.

I oto teraz — wszyscy zawiśli zależnionymi oczyma na jej pochylonej, chudej postaci, na zapadłych, piegawatych policzkach, i nikogo nie brzydziły jej suche, szorstkie włosy, stojące płomienną strzechą nad białym czołem, ani czerwone splekane ręce...

— No dobrze... zostań — powiedział wreszcie Grinberg, nie patrząc na nią, i jakby wszystko było umówione, podszedł do wylazu.

W tej chwili huknął strzał karabinowy, ale tak blisko i głośno, jakby pod samym domem. Ludzie rzucili się w panice do szafy.

Ruda Chana czekała, aż wszyscy zejną, potem wedle wskazówek starego Grinberga założyła cegły i deskę, wreszcie zamknęła szafę na klucz.

A wtedy usiadła na stołku, naprzeciw drzwi i spróbowała zaśpiewać jakąś cichą, żydowską piosenkę, ale ani jeden dźwięk nie przeszedł przez zasłuch gardło.

Długą chwilę trwała cisza. Mała przestrzeń, zamurowana z czterech stron, wzdmy ma się ciepłym oddechów tłoczonych ludzi. Stoją przy sobie tak cicho, że piersi poruszają się z trudem, że nie wszyscy mogą stać na obu nogach, że sklejają się własnym potem w jakąś jednorodną, poruszaną rytmem oddechu masę. Płuca łapią z trudnością gęste, ohydne powietrze, pod ścianami syczą szepty, ktoś skarzy się starczym, łamiwym głosem, że nie może się wyprostować, jakieś dziecko zapłakało...

— Cicho — warknął nagle tłącym szepsem Grinberg.

Na górze coś się dzieje: słychać najpierw kroki na korytarzu; rozkołysane ciężkie, żelazne stapanie. Potem — gwałtowne uderzenie w drzwi. I głosy. Głębokie, niemieckie głosy. Wszyscy zamarł. Ktoś zadmuchał świecę: może jest gdzieś w podłodze szparka? i zapadli tak, zbici, napięci wszystkimi zmysłami, w rozlaną, bezdenną ciemność.

Na górze drzwi trzaskają, słychać znowu kroki — tym razem oddalające się, słabną i mkną. Szafa otwiera się, piszcząc. Deska uchyła się brzegiem i ruda Chana szepce w buchającą z dołu rozwinętym oddechem ciemność:

— To byli Niemcy. Szupo. Już poszli.

— Nie wzięli mnie, dodaje jakby z małą satysfakcją. Dobra, miękka ulga gasi narzmiaty w niej na chwilę palącym, lodowatym płomieniem strach.

Dno zapada. Chana zamyka szafę powoli i ostrożnie, poczym podchodzi do okna. Wielki, czerwony na twarzy Niemiec spojrzął na kalekę, gdy chciała mu podać swój brudny, załuższony ausweis, potrząsnął krótko głową, rozejrzawszy się po pustym wnętrzu.

trzu, powiedział: — nie trzeba — i wyszedł.

Dziewczyna przytuliła twarz do zimnej szyby:

Ulicą biegą ludzie. Biegą, rzucają się to w tę, to w tamtą stronę, z zaułków i uliczek syją się pojedyncze, coraz bardziej gęstniejące strzały karabinowe, tu i ówdzie wlatuje ostry, rozdarty krzyk, ścięty nagle, jak nożem, tuż przed domem upada ktoś na czworaki, ale sunie dalej; to stary, czarny Żyd, który wlecząc się, raczkuje, byle naprzód, byle dalej i trwoni resztę życia w gwałtownych, bezsilnych ruchach, wlokąc ze sobą gęsty ślad wyeksponowanej przez sypki piasek krwi.

Uliczka opustoszała: ciężkim tupotem butów przebiegli dwaj Niemcy — w zielonych mundurach Sonderdienstu, z karabinami złożonymi do strzału, z biodra, jeden wskazał towarzyszkowi wysoki, biały dom: du, Hans... wrzasnął coś niezrozumiałe, ale skulona, biegnąca sylwetka mignęła za rogiem, więc pognali razem, strzelając w biegu.

Chana patrzyła z podziwem, zapominając na chwilę o strachu na błady ogienek i przezroczyły dym, wytryskujący z lufy.

Gdzieś pęka wybuch granatu ręcznego. Pod podłogą ludzie tęteją, słysząc wystrzały niewyraźnie i daleko, czasem coś zachrobocze za murami, czasem oczom wydaje się, że świetliste kręgi zjawiają się na ścianach, w powietrzu, świecą zielonkawym światłem twarze, kocie źrenice, i lodowate igły dreszczu rozpryskują się na głym warem. Piersi ściśnięte żelaznie, każdy wbity w tłum, jak pal w ziemię, stapia się w jedną, szeszcianem stojącą, żywą masę i słucha. Słuchają — słuchają, bo...

Znowu żelazny krok dudni gankiem i korytarzem.

Walenie w drzwi. Wysoko, nad głowami, dudni bas Niemca. I załamuje się w odpowiedzi cichy, cienki głos Chany.

Jakiś głośniejszy okrzyk, czy odgłos, i drzwi trzaskają. Cisza...

— Wziął ją? zabrał ją? leca zgonione szepty.

Dziewczyna pochyla się nad dnem szafy: — jestem — jestem jeszcze... powiada, nie świadoma w tej chwili głębszego znaczenia swoich słów. Tak jest: jeszcze.

Ktoś wbiegł na ganek trzema długimi susami. Koci krok podkuty butów.

— Offen — ryknął, i podnosząc nogę, rozmachnął się ciężkim butem. — Drzwi kopnięte w sam środek, trzeszczą gwałtownie. Chana zamyka szafę i biegnie otworzyć.

Niemiec mierzy podejrzliwie wnętrze. Rozkraczony, robi niewielki ruch głową, zamkniętą w kuli hełmu:

— Ah, du bist allein...

Wchodzi drugi, i trzeci: Rozglądają się. Wionął zapach rozgrzanego sukna, potu i wody kolońskiej. I coś, jakby spaleniźna.

— Gdzie reszta? pyta Niemiec.

— Jaka reszta?

— Nie udawaj! gdzie są wszyscy z kamienicy?

— Już byli — już zabrali — zaczyna Chana, ale wysoki blondyn o smagłej twarzy i szafirowych, dziewczęcych oczach śmieje się szeroko i złośliwie. Błyska wilgotną bielą zębów.

— Nie kłam — zaraz mów, gdzie się schowali? — mówi zaraz, bo... podnosi karabin. Żelazny pierścień wylotu spogląda czarno i zimnie w bladą twarz Chany. Niemiec mruży oczy. Wargi dziewczyny zaciskają się.

— Kiedy nikogo nie ma... — powiada wreszcie bezradnie i dzieciennie. Niemiec wykonuje mały, szybki ruch karabinem i dziewczyna, uderzona lufą w twarz, pada niezdarnie na podłogę. Siada powoli, pluje krwią z wyszczerbionych zębów. Trzej wysocy, uzbrojeni mężczyźni osaczają ją groźnym kręgiem badających chłodno oczu.

— No, gdzie się schowali? — tu? pyta jeden na próbę, podchodząc do wielkiego kuchennego pieca.

— Nie ma — bełkoce Chana. Wargi puchną.

Niemiec wali okutą kolbą w żelazną płytę, zagląda przez drzwiczki, ale zabrudził sobie rękę sadzą. Wściekły, ociera ją o porzuconą kokrę.

— Nie mamy czasu — mówi zaraz — wrzeszczy, podchodząc do Chany tak szybko, jakby chciał jej nastąpić wielkim butem na środek piersi. Dziewczyna kuli się, Trwoga podpywa mdlącym smakiem do gardła.

— Powiedz, to zostaniesz — a nie — zaberzemy cię — decyduje blondyn. Twarz jego jest piękna, męska, taka, jak na kolorowych okładkach niemieckich magazynów.

Za oknem mignęło kilka czarnych sylwetek. Ostatni biegnie aptekarz z przeci-

ka z wyrzuceniami w powietrze rekoma. Wywijając nogami, biegnie tak szybko, tak szybko...

Niemcy skoczyli do drzwi. Zahurgotały schody. I zaraz huknęło pośpieszonymi strzałami, jakby kto belki ciskał na podłogę.

Chana podnosi się głowa szumi i huczy — niemylnie idzie do szafy. — Poszli — powiada w jej kierunku — ale rozumie, że i tak nie usłyszą — poszli.

W tej chwili opalona twarz Niemca zjawia się powtórnie w drzwiach. Pod czarnym nawisem hełmu twarda i ostra, świeci stalowym szklivem oczu. Głodna twarz człowieka, który zakosztował krwi.

Cisza, wzdęta nad głowami ludzi, słoczonych w cuchnącej ciemności, pęka olbrzymim, martwym hukiem. Coś uderza ostro o ścianę szafy — i jest cisza. Wielka cisza.

Odrętwienie przechodzi.

— Co jest pytają się szeptem. Czekają długo, długo. Strzały oddalają się, nikną, cichną. Wszystko milknie. Tylko pragnienie pali wargi, ohydna czczość wysusza usta, piersi wykonują rozpaczliwie, zdławione ruchy, powietrze, wciągane do płuc ma smak cuchnących pompy. Ubrania, koszule, ciało, wszystko jest wilgotne i lepkie, po ceglanych ścianach spływają strumyczki letniej, skondensowanej z pary oddechów wody.

Stary Grinberg, który przez cały czas stał na najniższym szczeblu drabiny, podnosi się. Powoli i ostrożnie zbliża twarz do stropu i woła cicho:

— Chana — Chana! —

Nikt nie odpowiada.

— Chana! woła głośnie. — Cisza.

— Zabrali ją — konkluduje głucho stary w ciemność. Przez masę ciał przechodzi słabe drgnienie. Ale zamiera i tężeje, bo znowu dudnią na ganku kroki, ktoś otwiera drzwi — i zaraz wychodzi. I tak raz za razem, ciągle wał w uszy twarde, żelazne kroki, łoskot drzwi ucina je, czasem dudniące echo głosów i znowu cisza nawet w oddali gruchot strzałów.

Minuty mijają. A może godziny?... Ktoś śledzi tarczę świecącego w ciemności zegarka. Powietrze, odpływające małymi szparkami stropu, staje się niemożliwe do oddychania. Wielonogi i wielogłowy kłęb ciał zaczyna poruszać się, targany spazmem duszących mdłości. W drgawkach kurczy się to, zwija, naciska, i opada, rozpręża i dygoce, oblane zimnym potem trwogi i wściekłym, nagim, palącym pożądaniem życia.

Wreszcie wybucha wrzask: nie chcę tak — nie chcę — wszystko mi jedno — niech mnie biorą — ja chcę wyjść — wyjść!

Odpowiada mu wroga, głucha cisza. Więc wszczytna się niewidzialne szamotanie, coś w mroku kółkuje się, przewala, sły chać tępe razy, uderzenia, ktoś wrzasnął, zacharzał i drabina zaczyna trzeszczeć — trzeszczeć — cęgly grechocą — proch i tynk sypie się na głowy...

— Dno wypada ze stukiem. Młody Grinberg (gdyż to on jest tym, który wyrwał się na górę — naciska mocno skrzydło drzwi. Coś ciężkiego przesuwają się, sły chać miękkie płaśnięcie ciała i do szafy i wnętrza piwnicznego wpada pierwsza fala powietrza. Prawdziwego, czystego powietrza. Płuca rozdymają się, oczy płoną. W górce Grinberg, oślepiiony światłem, wyłazi na czworakach na podłogę, i potyka się o trupa Chany, który leżał przyciśnięty do szafy. Odsunął go, otwierając drzwi.

Staje — nogi mu drżą. Dziewczyzna leży na wznak, ręce wyciągnęła jeszcze w kierunku szafy nic już teraz nie znaczącym, pozbawionym sensu gestem.

— Chana tu leży — zastrzelili ją — powiada głośno Grinberg i podchodzi ostrożnie do okna. Zapada zmierzch. Dachy domów czernieją na tle wysokiego błękitu, tak strasznego i pięknego, jak zawsze. Ulica jest już pusta: tu i ówdzie widać przekreślone białą opaską postacie Żydów.

Grinberg wychyla głowę przez drzwi.

— Co sły chać? — pyta młodego człowieka w robotniczym kombinezonie, który wraca widocznie z pracy.

— Odjechali już — powiada tamten i idzie, nie zatrzymując się dalej. Grinberg przypada do szafy — wyrzuca z siebie słowa. Jak zaklęcia. Kłęb ludzi w cuchnącym wnętrzu zaczyna się rozsypywać. Zmięte, drżące, osłabłe ciała wypełniają na górę, jak wielkie robaki, wiją się we włazie, niektórzy nie mogą wypełznąć o własnych siłach — uginają się kolana, drżą ręce, oczy oślepił światłem zmierzchu zaciskają się rozpaczliwie. Piersi pracują silnie, nawykając z zadziwioną rozkoszą i ulgą do powietrza. Do cudownego, niezwykłego powietrza.

— Przeżyliśmy... — powiada piekarz, jakby sam zdziwiony tym faktem i patrzy na odsuniętego w bok trupa Chany. W jej nawpół otwartych oczach, już nieco zmętniałych (dzień był bardzo gorący) — Świeśli się niebieska iskra: ostatni blask dnia dzisiejszego.

Stanisław Lem

MAREK ŻUŁAWSKI

## O malarstwie angielskim

Chcąc mówić o malarstwie angielskim nie mogą się na wstępie powstrzymać od uwag, że malarstwo to jest takie jak wszędzie — ani mniej ani bardziej oryginalne, niż malarstwo w Polsce lub we Francji. Rozwój sztuki zależy jednak od dwóch czynników — od talentów i od dobrobytu społeczeństwa. Szczęśliwy kraj, gdzie oba te czynniki znajdują się naraz.

Jeżeli idzie o malarstwo angielskie to ma ono nie małą tradycję, która przeplata się bardzo blisko z tradycją sztuki francuskiej, ale oczywiście posiada i swoje własne elementy specyficzne. Niezmierznie ważny wydaje mi się dla rozwoju sztuki angielskiej fakt istnienia w Anglii wspaniałych kolekcji obrazów z National Gallery, Tate Gallery i Wallace Collection na czele. Ciągłość malarzkiego światopoglądu jest rzeczą warunkującą jego rozwój. Nie można stworzyć w sztuce niczego wielkiego jeżeli się nie ma kontaktu z wielką tradycją ubiegłych stuleci. Malarstwo i rzeźba mają pewien nurt główny, który trzeba znać i rozumieć, aby móc żeglować swobodnie i śmiało po rozległych wodach własnych koncepcji i własnych doznań. Bez znajomości tego głównego nurtu artysta bardzo często gubi się, marnuje talent i zabłąkany zarzuca kotwicę w marnych zatokach prowincjonalizmu.

Gotyckie malarstwo angielskie zniszczyło w XVI-tym wieku Henryk VIII w buncie przeciwko katolicyzmowi. Także w XVI-tym wieku niszczone zostały z powodu religijnych. Pozostałe dzieła odnawiano wielokrotnie i nieudolnie. Przechowały się tylko iluminacje w stylu ogólnoeuropejskim tych czasów.

Ale za Henryka VIII w Anglii, Holbein wywarł na długie lata ogromny wpływ na angielskie malarstwo. Wpływ ten utrzymuje się długo, ponieważ konserwatywna Królowa Elżbieta potępiała „cienie na twarzach portretów” w okresie w którym — gdzieindziej — kwitło dramatyczne malarstwo Tinoretta, El Greca i Caravaggia.

W XVII wieku, za czasów Karola I-go, pracuje w Anglii Rubens i Van Dyck. Karol był kolektorem i znawcą, na jego dworze malowało również wielu innych kontynentalnych portrecistów. Rubens przyjechał zresztą w roku 1629 nie jako malarz, ale dyplomata na negocjacje pokojowe pomiędzy Hiszpanią a Anglią, ale namalował w Anglii parę obrazów, jak „Wojna i Pokój” oraz „Święty Jerzy” z twarzą Karola I.

Van Dyck, który miał niesłychane powodzenie, rozpoczął tradycję portrecisty w wysokich sferach towarzyskich, urządził bankiety i przyjęcia.

W drugiej połowie XVII-go wieku i z początkiem XVIII-go pracuje w Anglii Niemiec Gotfried Kneller i z jego śmiercią kończy się okres cudzoziemskiej dominacji w malarstwie angielskim. Na arenę występuje pierwszy wielki malarz angielski William Hogarth, który wypełnia swą działalnością pierwszą połowę XVIII-go wieku. Hogarth to wspaniały malarz obyczajowy — malarz grupowego portretu, choć w sferach towarzyskich nie miał wielkiego powodzenia, bo będąc zdecydowanym realistą nie pochlebiał modelom. W swoich wcześniejszych obrazach Hogarth był pod wpływem Watteau. Był on w pewnym sensie wynalazcą komedii o moralnej treści w malarstwie oraz dydaktycznej grawiury, choć Holendrzy robili to przed nim. Namalował parę takich seryjnych obrazów, odpowiadających aktom dramatu czy komedii ludzkiej. Obrazy jego mają znakomitą pełnię formy i koloru.

Młodszy od niego Tomasz Gainsborough i Sir Joshua Reynolds — typowi malarze XVIII-go wieku angielskiego, są o wiele mniej oryginalni i mniej realistyczni. Widać na nich wiele wpływów włoskiego renesansu, którego są epigonami. Ich kwintne portrety w romantycznym pejzażu są raczej umowne. Reynolds, zresztą umiał kapitalnie malować, czasem zupełnie na poziomie najlepszych mistrzów renesansu. Gainsborough był mniej biegły, ale często ciekawszy, szczególnie w obrazach z dziwnymi białymi postaciami na ciemnym, romantycznym pejzażu.

Pod wpływem włoskiego malarstwa XVII wieku jest także świetny pejzażysta angielski Richard Wilson, pracujący w XVIII wieku, którego nie bez słuszności nazywają ojcem angielskiego pejzażu. Wilson jest klasykiem wrogiem Gainsborough, którego uważa za knociarza i jego obrazy budowane są z wielkim poczuciem statycznej kompozycji. Stworzył on typ pejzażu, który przetrwał w Anglii bardzo długo, aż zdegenerował się w nieznośny, landszajt wykonywany podług recepty

przez ostatnich jego imitatorów.

George Morland, który pracuje w drugiej połowie XVIII-go wieku, jest spadkobiercą rodzajowego malarstwa holenderskiego z wieku XVII-go. Maluje on wyidealizowany pejzaż angielski z postaciami — zagrody wiejskie i wiejskie dziewczęta. W drugiej połowie XVIII-go wieku żyje również bardzo ciekawy malarz George Stubs, ceniony jako najlepszy malarz i znawca anatomii koni, choć jego wartość polega oczywiście nie na tym. Był on przede wszystkim malarzem dążącym do absolutnego precyzowania formy. Jego obrazy są zbudowane jak architektura, zważone masy ciemne i jasne są tak niewątpliwie nie przypadkowe, że nawet małe obrazy robią monumentalne wrażenie. Maluje on cudowne portrety zbiorowe ludzi na koniach czy w powozach, na tle wielkich zorganizowanych mas drzew. Obrazy jego nie mają pustych miejsc, są świadome i pozbawione wszelkich niepotrzebnych akcesoriów. Postacie złączone z pejzażem organicznie, a czerwone fraki panów i niebieskie szale dam rozłożone w sposób dający oku pełną satysfakcję.

W drugiej połowie XVIII i na początku XIX wieku pracuje w Anglii największy z angielskich karykaturzystów, a raczej rysowników obyczajowych, Thomas Rowlandson, który w historii malarstwa europejskiego stanowi łącznik pomiędzy francuskimi malarzami obyczajowymi z XVIII wieku, a Daumierem i Constantinem Guys'em. Rowlandson kapitalnie rysuje czystą, rubaszną kreską i podmalowuje często rysunki akwarelą z wielkim zrozumieniem koloru, którego używa lokalnie. Jego pejzaże, ludzie i zwierzęta noszą cechy deformacji, stosowanej celowo dla osiągnięcia czy to efektów formalnych obrazu, czy też nastroju — często satyry.

W pierwszej połowie XIX wieku maluje w Anglii Turner, niesłusznie, moim zdaniem, uważany za prekursora impresjonizmu. Maluje on rzeczywiście bardzo kolorowo i jego technika przypomina czasem miękka i luźna technikę Renoira, ale na tym podobieństwo się kończy, ponieważ Turner używa ciągle jeszcze koloru umownego, czasem po prostu koloru fantastycznego, to jest nieobserwowanego w naturze — dla wywołania nastroju. Jest to malarz nawskroś romantyczny. Pod koniec obrazy jego stają się coraz bardziej ab-

strakcyjne i notują tylko nastrój a nie formę — występują w nich jakieś kolorowe, nawpół abstrakcyjne mgławice. Piękne są jego szkice z natury robione akwarelą, których jednak nigdy nie wykorzystywał do obrazów. W obrazach dążył nie do imitacji natury, ale — kiedy nie był pod wpływem Rembrandta, Poussain'a czy Watteau, — do jakiejś wielkiej kompozycji kolorowego uniwर्सum już prawie bezprzedmiotowego jak w „Burzy Śnieżnej” lub w „Okreście Niewolników”. W ten sposób stanowi on niejako zapowiedź nowoczesnych abstrakcjonistów w malarstwie angielskim.

Pod koniec XVIII i z początkiem XIX wieku mamy w Anglii wielkich pejzażystów: Crome'a, Cotmana, Boningtona, i wreszcie najslawniejszego z nich Constable'a. Crome i Cotman byli mistrzami wielkiej klasy. Malowali pejzaże z figurami, cudownie należącymi do pejzażu, który jest zielony, pełen wielkich drzew i nastroju. Cotmana portrety drzew są zadziwiająco nowoczesne, cechuje je głębokie zrozumienie formy. Jest to już malarstwo nie tematowe i nie szukające symboliki — o wiele bliższe nam zasadniczo, niż Turner.

Bonington ze swoimi mistrzowskimi pejzażami morskimi i kontaktami z malarstwem francuskim jeszcze bardziej zbliża Anglię do kontynentu. Zachwyca się tym młodym malarzem, który umarł w wieku lat 26-ciu, Delacroix. Zresztą na Delacroix wywarł również wpływ czwarty z wielkich pejzażystów angielskich — Constable.

John Constable jest wielkim romantykiem, który jednak w swoim technicznym traktowaniu i budowaniu obrazu zbliża nas do francuskiego impresjonizmu. I w istocie, jego malarstwo wywarło wyraźny wpływ na Ecole Barbizon, a tą drogą pośrednio — na impresjonistów i całe malarstwo europejskie XIX wieku. Theodore Rousseau czerpał napewno z doświadczeń Constable'a.

Constable jest wielkim malarzem, jego poczucie formy i koloru, jego użycie światła klasyfikują go bardzo wysoko w hierarchii sztuki europejskiej. Oczywiście można powiedzieć, że najlepsze jego obrazy — i rzeczywiście kapitalne i zupełnie współczesne — to t. zw. szkice, z których malował swoje wielkie i bardziej wykoń-



Thomas Gainsborough: Spacer poranny.



stwo przedwojenne nabrało nagłe wyki żywej i przejmującej. Jeden z tych malarzy angielskich tego kierunku Paul Nash maluje na przykład artystyka strąconych samolotów, pomysłynie zawalona powyginanym żelazem pod dramatycznym niebem jak ze snu, lub stada kołyszących się w przelocie balonów zaporowych, podobno do jakichś apokaliptycznych wielo- Inny z romantyków bardzo znany Graham Sutherland, maluje ja- dziwne, przejmujące grozą konstruk- powstałe z rozwalonych domów, mar- tury z nawpój zwęglonych beli pa- drukarskiego lub sztolnie kopalni z- parabolicznie wygiętych szyn i szel- dymiących wagonetek. Znakomity larz i malarz angielski Henry MO- wuje w nieskończoność kłębowa- śpiących w schronach podziemnych zzone Pięty dnia dzisiejszego.

szcze inny John Piper jest interpre- architektury i nabrzmiałego przera- m pejzażu oraz fantastycznych wnętr- zych kościołów.

Wspólną tych malarzy jest to, że- sprawde malarzami, to znaczy, że w- b malarski traktują kolor. Ich kom- je pół-abstrakcyjne mają wiele na- i bogactwa form i koloru. Niestety, rzy jak np. Piper kładą przesadny- k na fakturę, traktując powierzchnię- jako źródło specjalnych wrażeń- zczno-dotykowych, co oczywiście nie- się z założeniami romantyzmu. rze ci są pokrewni obecnemu Picass- Wdziałem niedawno dwadzieścia- kolorowych reprodukcji ostatnich- zów Picassa. Jest to dawny, abstrak- y, Picasso plus jeszcze dawniejszy- so ekspresjonistyczny z okresu bje- go. Siedzące postacie ludzkie, choć- łowane z form pseudo-geometrycznych- jednak jakiś wyraz i nastrój. To sa- dności się do jego martwych natur, e oprócz symbolicznej już picasso- gitary, pojawiają się formy nowe,- pół naturalne. Nastrój tych obrazów- ja jednak głównie na bardzo przejm- nym kolorze. Otóż Picasso jest w Angli- ony więcej, niż jakikolwiek inny ma- paryski. W ostatnich miesiącach były- ndynie trzy wystawy Picassa, złożone- się ze starszych prac.

W niektórych dzisiejszych romantyków- ankich możnaby porównać do Wlamincka- go dramatycznym choć powierzchow- nastrój. Niektórzy uprawiają sur- rru, jeszcze inni jak Frances Hod- lub Julian Trevelyan wydają- yć pod wpływem rysunków dziecin- w których Anglię się lubują.

W murł klasyczny jest również bardzo- w Anglii. Ze wspomnianych poprze- malarzy tego kierunku wybija się- jak powiedziałem Mathew Smith, y maluje przeważnie potężne akty ko- z masą draperii czy poduszek lub- ty czy pejzaże. Obrazy jego poznaje- a pierwszy rzut oka, po głębokim ra- ciemnym i czystym kolorze lokal- y, który ma wielką zawartość światła, e przeważnie zbudowane na zasadzie- ych kolorów, którym przeciwstawi- czasem, choć niezawsze, zimna zieleń, e forma jest pełna i całościowa z ten-- ją do baroku, technika niezwykle- za, farby tylko tyle ile potrzeba i tyl- am, gdzie potrzeba. Jest wielka eko- nomiczność w jego malowaniu i zu- e wyzbycie się impresjonizmu.

Wobec impresjonizmu charaktery- także malarzy o wizji głęboko klasy- y, pomimo deformacji, stosujących- kę technikę jak Moynihan i inni, y na ogół przypominają Segonzac'a —- mamy już szukać analogii. Operują- kolorem lokalnym i złamanym, a for- wproszoną. Zbliżona do nich jest- Euston Scholl — cała plejada- ych malarzy młodszych, których łą- ekonomia efektów, prostota i tenden- do t. zw. uczciwego malarstwa. Główni- przedstawicielami tego kierunku są- more Darwin i Le Bas.

Prócz tego w Anglii są jednak malarze- ależni, o tendencji do prymtywizacji- jak Spencer lub Edward Burra, y maluje ponurą i często niesamowit- groteskę podmiejskich scen, rodzą- ch i podmiejskich typów, a czasem ja- i fantastyczne alegorie potworności, y także przepiękny malarz szczerze pry- wny, mieszkający na prowincji Low- kiego pejzaże frabryczne posiadają- obny nastrój jak malarstwo Douanier- seau. Jest on moim zdaniem, jednym- najlepszych dzisiaj w Anglii malarzy, yje kolorem złamanym i szarym, a- to to obrazy jego mają pełnię koloru,- łownie używa prawie-białego i prawie- nego.

Jest także Ethel Walker, Ethel Wal- to stara siwa pani, coś jak Olga Boz- nika i nawet maluje trochę podobnie,- aż Olga Boznajska jest bezsprzecz- subtelniejsza. Ethel Walker najlepiej

maluje kwiaty, które w jej interpretacji- są drgającą masą kolorów i morze. For- my w jej obrazach są płynne, kontury za- tarte. Namalowała całą masę pejzaży mor- skich, gdzie jest tylko morze i niebo. Cza- sem jest horyzont, czasem go prawie nie- ma. Jest natomiast zawsze wrażliwa i drga- jąca materia malarska pozbawiona szcze- gółów, a niesłychanie przykuwająca. Jest- ona chyba ostatnim poważnym malarzem- impresjonistycznym w Anglii.

Typowym dla obecnej generacji jest in- ny malarz, nazwiskiem Christopher Wood, który umarł bardzo młodo na parę- lat przed wojną i który znalazł już cały- szereg mniej lub więcej udanych naśladow- ców. Był to malarz o bardzo swoistej i dzi- wacznej wizji. Jego obrazy przypominają- jakby włoskie malarstwo przedrenesanso- we, nie tylko brakiem prawidłowej per- spektywy i za dużymi głowami ludzi, nie- tylko Giottowskim jakimś pejzażem i de- formacją, ale także kolorem ściśle lokal- nym a niezwykle świetlistym i intensywnym- oraz całym nastrojem. Okrepty jego są- czarne i dramatyczne, twarze ludzi różowe- i puchowate, drzewa mają określone kon- tury i liście, a niebo wisi nad tym sztyw- ne i bliskie jak deska. Wszystko to jest- u niego zdecydowane, czasem aż brutalne. Ale często bardzo trafne w kolorze. Jest- on o tyle charakterystyczny, że obrazuje- najlepiej główną tendencję dzisiejszego- malarstwa angielskiego, a mianowicie zer- wanie z konwencjami impresjonizmu w- dziedzinie formy i koloru, nawrót do kolo- ru lokalnego oraz szukanie atmosfery i na- stroju, jakiegoś wyrzutu napół groteskowe- go, napół sentymentalnego.

Nie poruszam tu dwóch bardzo ważnych- dziedzin angielskiej sztuki plastycznej, a- mianowicie rysownictwa i rzeźby. Rysow- nictwo czy to ilustracyjne czy też specjal- nie szeroko rozwinięte w Anglii — rysow- nictwo obyczajowe, zatracające często o- karykaturę, ma bardzo ustaloną tradycję- i świetnych przedstawicieli.

W rzeźbie pojawiają się również te sa- me co w malarstwie tendencje: romanty- czna i klasyczna, przy czym ta ostatnia- jest silnie związana z obecną rzeźbą fran- cuską.

W ogóle zarówno w malarstwie jak i w- rzeźbie Anglię zawsze byli w ciągłym- kontakcie z Paryżem, chociaż nie zawsze- mu ulegali.

Świat jest mały, nieprawdopodobnie- mały wobec nowoczesnych środków komu- nikacyjnych. Ale trzeba, aby był otwarty- dla artystów wszystkich krajów.

Wzajemne wpływy — przenikanie się- idei, kontakty osobiste i możliwość zapozna- wania się u źródła ze zbiorami dzieł sztuki- — oto warunki rozwoju i gwarancja unik- niecia prowincjonalizmów.

Marek Żuławiński

## Rozmaitości

### O szacunek dla czytelnika

Ubiegł mnie Stefan Żółkiewski, pisząc do- mnie list w „Kuźnicy”. Ubiegł mnie copraw- da nie tym trafnym bardzo spostrzeżeniem, że do „Kuźnicy” pisują i marksisci i nie mark- siści. To nie trudno zauważyć zwłaszcza jeśli- idzie o sprawy artystyczne. Kto z liberatów- jest tak zrozumiwały, że śmiały się za mark- sistów podawać? Staramy się w miarę swoich- sił, w miarę swojej wiedzy i umiejętności, staramy się i tyle. Żółkiewski ubiegł mnie w- czym innym. Poruszył sprawę podziału od- powiedzialności za wygaszane poglądy mię- dy redaktora i autora. „Kuźnica” postawiła- sobie cel dość jasny, w tym czasopiśmie re- dakcja bierze na siebie większą część od- powiedzialności, niż w innych. Ponoć w innych- odpowiada autor, czy pisze trzeźwo, czy- chwycił się jak pijany plotu. Czy aby ta za- sada nie służyła na czytelnika? Od dłuż- szego czasu obserwuję naszą prasę literacką. Nie mówię o dodatkach niedzielnych do ga- zet. Raczej o czasopismach, pretendujących- do jakowejś powagi, poziomu czy ciężaru ga- tunkowego. Mętniacy są bardzo z nich zado- woleni. Osiągamy, powiadają, poziom przed- wojenny. Mają rację, przedwojenny zgiełk- rozpełzał się w najlepsze.

Przymawiałem „Kuźnicę” po to, aby zdo- być sobie więcej moralnego prawa do rozje- rzenia się po widnolegę. Niech sobie spiry- tualisci siedzą na metafizycznych płyciznach- i machają wiostami, nie ruszając się z miej- sca. Czasy się zmieniły, materialisci przeszli- do ofensywy, literaci do niedawna bardzo od- daleni od materializmu odczuwają tęsknotę- do historycznego myślenia. Jerzy Zagórski, który do niedawna zabawiał nas paradoksa- mi na temat Św. Inkwizycji, rozjeżdżający się- trochę po świecie, napisał znamienity pod- tym względem artykuł p. t. „Dążenie do kla- sycyzmu” („Twórczość” Nr 5). Dużo tu jesz- cze lokalnych „antypowarszawistycznych” ura- zów w sprawach poezji lat między-wojennych, są i zabawne, niepokrywające się z faktami- dyoagacje na temat architektury miast, ale- jest przede wszystkim rzetelne poczucie, że- sprawy sztuki dzieją się w nurcie historii- i sumienia, choć odyfrowania dzisiejszego- momentu, odnalezienia zagubionych przed- ły dyrektywy sztuki, szlachetna gotowość do- wyrzeczenia się nawet drogiej sobie nawy- ków. Najcenniejszych uwag Zagórskiego nie- powstydzili się „marksista”.

Oto jeden przykład tęsknoty do myślenia- historycznego. A obok tego mógłbym przyto- czyć tuzin innych, niepokojących, tuzin arty- kulów, w których autorzy oszukują tę tęskno- tę swoją i czytelnika. Zgiełk przedwojenny- rozpełzał się w najlepsze, ale przybyły nowe- muste dźwięki narzucone przez koniunkturę.

Ofensywa materialistów, albo raczej tych, co- starają się zdobyć materialistyczną podstawę- rozumowania, wypolala koniunkturę na ter- minologię historyczno - społeczną i ekono- mczno - polityczną w sferach literackich. Przy- wiadomej rozwięzłości intelektualnej, jaką odzie- dziczyliśmy po latach międzywojennych, flosz- krytycy i niedokrytycy wyobrażają sobie, że- jak przed wojną zagłowało się słowami „de- formacja”, „sublimacja” czy „mitologizacja”,- tak dzisiaj można — i nawet trzeba — bawić- się w bi-ba-bo takimi słowami, jak „feoda- lizm”, „kapitalizm” czy „burżuazja”. Wszyscy- wiemy doskonale, że słowo „deformacja” nie- ma oznacza „sublimacja” — jeszcze mniej- słowo „mitologizacja” może oznaczać wszyst- ko co się komu podoba. Nie pozwolimy jednak- w podobny sposób operować pojęciem „realiz- mu”, które ma swoją klasyczną definicję. Kto- jej nie zna, albo nie uznaje, niech pisze- o fijołkach.

Przepraszam czytelnika, że dla ilustracji- zmuszę go do przeczytania kilkunastu wiersz- czy czystej bredni, zaczerpniętej z czasopis- ma „Twórczość”.

Zapewne każdy z danych kierunków lite- rackich (klasycyzm, sentymentalizm, roman- tyzm itd.) był niewątpliwie realizmem, jeśli- chodzi o jego stosunek do form społecznych. Klasycyzm to realizm feudalizmu, romantyzm- to realizm młodej, idącej na podbój świata- burżuazji, podczas gdy realizm balzakowski- to bynajmniej nie ten „właściwy”, „czysty”- realizm, lecz jedynie realizm burżuazji u- szczytu swego rozwoju, tak jak naturalizm- będzie realizmem tej klasy już chyłcej się- do upadku, a wszystkie późniejsze izmy, choć- by najbardziej realistyczne, niezym innym, tylko realizmem tej samej już w stanie roz- kładu. Od tej strony rozpatrywane zjawisko- literackie jest zawsze tylko produktem form- gospodarczych, wykładnikiem krząających- się sił społecznych...

Nie podaje autora, bo to nieważne. Ochodzi- nas co innego: ten cały wywód zbudowany- według recepty „Kiedy Kara Mustafa Wielki- Mistrz Krzyżaków”, odbywa się w terminolo- gii materialistycznej. Niewy czytelnik będzie- się starał to zgłębić, nie podejrzewając, że- padł ofiarą mistyfikacji.

Terminologia materialistyczna tym się róż- ni od spirytualistycznej, że jednak składa się- z elementów sprawdzalnych. Każdy redaktor- może je sprawdzić. Skoro tego nie robią- to widocznie odziedziczyli po latach międzywo- jennych nadmierny szacunek dla autorów- i brak elementarnego szacunku dla czytelnika.

ADAM WAŻYK

## Sprawa Instytutu Propagandy Sztuki

W obecnej chwili Warszawa — stolica nie- posiada ani jednego lokalu wystawowego dla- bieżących wystaw plastycznych. Niewątpliwie- rola kulturalna stolicy i chociażby względy- reprezentacyjne wymagają by Warszawa lokal- taki posiada. Warszawa lokalu wystawowego- nie ma, mimo iż wzniesiona jest Zachęta, Muzeum Narodowe i Instytut Propagandy- Sztuki. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie brzmi mniejwięcej- tak. Zachęta na lokal wystawowy ze współ- czesnego punktu widzenia nie nadaje się po- prostu ze względu na to, że na lokal ten- składa się szereg wąskich, ciemnych sal, pozbawio- nych górnego światła. Poza tym gmach Zachę- ty traktowany jest jako budynek muzealny i- właściciele nie chcą go użyć nie tylko na- czasowe wystawy ale nawet i na tymczasowe- schronienie dla Akademii Sztuk Pięknych. To- samo jest z Muzeum Narodowym. Tymczasem- plastycy powinni mieć lokal którym by według- swego własnego uznania mogli dysponować.

Pomyślałby kto, że nie prostszego. Niewiel- kie fundusze i odbudowa a raczej remont- pawilonu wystawowego Instytutu Propagandy- Sztuki przy placu Saskim zezwoi plastykom- całej Polski posiadać tak ważny ośrodek wy- stawowy.

Kiedy 19 grudnia 1931 roku pawilon ten- został otwarty, prezes IPS-u, s.p. Władysław Sko- czylas powiedział:

„Dzień dzisiejszy, jako dzień otwarcia- pawilonu wystawowego Instytutu Propagandy- Sztuki jest niewątpliwie wielkim świętem dla- polskiej sztuki.

Radość nasza nie płynie wyłącznie z tego- powodu, że przybywa nam nowa placówka kul- tury artystycznej, ale również i z tego prze- świadczenia, iż mamy realny dowód opieki rzą- du polskiego nad sztuką, który mimo ciężkiego- położenia finansowego, przeznaczając na ten- cel najświetniejszy plac stolicy dla sztuki, i po- moc finansową na wybudowanie tego pawilonu, swoją opiekę nad sztuką w tak pozytywny spo- sób zaznacza”.

W 1931 roku nie było w Polsce Ministerstwa- Kultury i Sztuki, nie mówiono tyle o popiera- niu, krzewieniu, umasowieniu, etcetera, ale- pawilon powstał. Dziś ministerstwo takie istnie- je, w ministerstwie istnieje Departament- Plastyki, Departament ten otrzymał w ostatnich- dniach nowego dyrektora. I oto na samym- początku urzędowania nowego dyrektora- Departamentu Plastyki Min. Kultury i Sztuki ob- Skotnickiego polska społeczność plastyczna, „uradowana” została wiadomością, że pawilon- IPS-u oddany został na stołówkę, bursę, lokal- rejestracyjny, pod nazwą „Gospoda Żołnierza”- w celach pomocy dla zdemobilizowanych. Wiemy- ile należy się zdemobilizowanym, wiemy- jaką powinniśmy okazać wdzięczność bohater- om walk o wyzwolenie naszej ojczyzny, ale...- Ale lokal ten jest specjalnego znaczenia, jest- własnością sztuki polskiej. Przez lokal ten- przewinęła się historia dwudziestolecia bardzo- żywotnej działalności sztuki polskiej. Lokal ten- to już tradycja. Na wielokrotne zapytania i- postulaty Związku Zawodowego Polskich Arty- stów Plastyków dotyczące oddania IPS-u arty- stom Min. Kultury i Sztuki stale odpowiadało- ustami b. dyrektora Departamentu Plastyki ob- Rafałowskiego, że fundusze na remont są już- przyznane i wnet plastycy IPS otrzymają.

Oświadczenie takie zresztą złożył ob. Rafa- łowski na walnym zebraniu Związku Plastyków- w Warszawie 8 grudnia ub. r.

Instytut Propagandy Sztuki zrównany nie- został. Nie służy tym celom dla jakich był stwo- rzony, i jakim powinien służyć. Ostatecznie- przy odrobinie chęci na „Gospodę Żołnierską”- można znaleźć pomieszczenie, niekoniecznie- muszą to być najlepsze sale wystawowe w- Polsce, niekoniecznie musi w gospodzie być- górne światło, bo znaleźć pomieszczenie na lokal- wystawowy jest o wiele trudniej.

Plastycy w Polsce domagają się zwrotu- IPS-u. Domagają się chociażby z tego powodu, że- oświadczenia o poszanowaniu i opiece nad- kulturą nie powinny być czczymi obietnicami, domagają się, gdyż IPS stanowi ich własność.

Poza tym trzeba zwrócić uwagę, na fakt, iż- sprawa IPS-u nie jest ośobodniona. Taka sama- sytuacja powstała w Lublinie, gdzie również- odebrano plastykom lokal wystawowy, jedyny- w tym mieście. Plastycy lubelscy tulają się- wobec tego z obrazami po bogatszych znajomych. Jedyne Kraków i Łódź poszczycić się mogą- tym, że po zaciętych walkach swego nie oddali.

Dużo obecnie mówi się i pisze o tym- jakie powinno być malarstwo, nawet „Kuźnica”- wydrukowała coś w rodzaju manifestu „my- młodzi, grupa nasza... itd., mówi się o klasycyzmie, o tym, o tamtym, a to że czterystu warszaw- skich plastyków nie może wystawić, to, że wy- stawa jest nieodzownie potrzebna pracy plasty- ka, potrzebna dla jego rozwoju, to, że wiosen- ny reprezentacyjny salon niewiadomo czy- odbędzie się z „kwaterekowych” powodów nie- znaało narazie ostrego protestu.

Trzeba skończyć z deklamacją. Po co- rzucać słowa: w masę..., upowszechnić..., o nowy- wyraz... — kiedy wystawiać i tak nie ma gdzie- i wszystko staje się fikcją.

Ignacy Witz.

W poprzednim numerze (5) „Kuźnicy”- z dnia 11 lutego 1946 r. Władysław Bien- kowski — Bój o trzecią reformę, Mieczysław- Wionczek — W oczach Zachodu, Stanisław Strumph-Wojdewicz — Dramat- na emigracji, Jan Szczepański — Huma- nizm czy człowiek? Paweł Heitz — Partia- inteligencji francuskiej. Korespondencja- z Warszawy — Co myślisz starczy o lu- dach zachodnich? — A. Sr. Szweryn Pol- lak — Cień, Henryk Eile — Publicystyka- „Proletariatu”, Nieporozumienia teatralne- — Kazimierz Rudzki. Nie odstraszać ludzi- od techniki — Kwiek Rozmaitości — Wyj- ście z partyzantki — Adam Ważyk. List- do Adama Ważyka — St. Żółkiewski. Ko- respondencja — Andrzej Malinowski „Bel- lona” — Tw. Przegląd prasy — pl. W spra- wie artykułu „Jeszcze marksizm” St. Żół- kiewski Jan Huszcza — Notatki. Noty.

czono prace. Szkice te jednak — zawsze olejne — są skończonymi obrazami, którym bynajmniej nie odbiera wartości fakt, że powstawały z nich wersje bardziej elaborowane i jako takie pozbawione cech bezpośredniego przeżycia.

Ci czterej malarze, pierwsi — jeszcze przed Barbizoićzami — wyszli z pracowni na plener, przełamując dotychczasowe konwencje i umowne użycie koloru w pejzażach, malowanych w pracowni. — I stąd ich ogromne znaczenie.

O dziesięć lat starszy od Constable'a, pracował równocześnie z nim w drugiej połowie XVIII wieku i z początkiem XIX-go, walarz przedziwny i romantyczny William Blake. Jego dziwność polega na tym, że odmawiał naturze prawa formowania wizji malarskiej. Malował i rysował wyłącznie z wyobraźni, wpatrzony w swój świat wewnętrzny. Jest on ekspresjonistą par excellence i już — podkreślam — w XVIII wieku twierdzi, że celem sztuki nie jest i nie może być kopiowanie natury, zasada, która w najrozmaitszych formach odradza się raz poraz w malarstwie i jest dziś równie aktualna jak zawsze. Używał on koloru w sposób abstrakcyjny względnie estetyczny, jako środka wywołania pewnych emocji.

Sława jego została ugruntowana na szeregu prac ilustracyjnych między innymi do „Boskiej Komedii” Dantego, do Biblii i do Szekspira. Blake dążył do dynamiki, nienawidził statyki, starał się wyrazić w rysunku swoje doznania psychiczne, ale w notowaniu tych doznań, wobec braku studiów z natury — czerpał świadomie czy podświadomie z dzieł i form sztucznych, stworzonych przez innych. Zapożyczał postacie z obrazów i rycin swoich poprzedników i pod względem formy jest raczej przykry. Niepojęty jest snobistyczny nieco zachwyt jakim się otacza dzisiaj w Anglii dzieło Blake'a, lansując go na piedestał wyraziciela romantyzmu angielskiego. Dzisiaj Blake byłby napewno zaciekłym abstrakcjonistą — bo wydaje mi się, że nie ma wyraźnej różnicy pomiędzy abstrakcjonizmem i symbolizmem, którego Blake był prorokiem.

Nie można tu pominąć innego specyficznego ruchu w angielskim malarstwie, który wywarł wielki — choć fatalny — wpływ na estetykę niektórych krajów europejskich, a w szczególności na t. zw. „Młodą Polskę” z okresu Kasprowicza, Przybyszewskiego, Jerzego Żuławskiego i innych. Mam na myśli PRE-RAFAELITYZM.

Zaliczają się tu Rossetti, Holman, Hunt, John Millais, Brown i Burne-Jones. Pre-rafaelici pracują w drugiej połowie XIX wieku i zdecydowanie cofają rozwój malarstwa angielskiego. Jak wiemy wprowadzają oni element legendy i średniowiecza, jeśli idzie o tematykę ich symbolicznych kompozycji, a tępotę formy, a zwłaszcza — bolesną tępotę koloru, oraz specyficzną dekoracyjną zawijas secesyjny — jeżeli idzie o wykonanie.

Równocześnie jednak rodzi się reakcja przeciwko temu prowincjonalizmowi, w postaci hasła „Sztuka dla Sztuki”, przywiązanej z Paryża przez znakomitego malarza angielskiego James'a Whistlera.

James Whistler i jego uczniowie pracują w drugiej połowie XIX wieku. (Whistler umierał w 1903 r.). Gwałtowna walka między Burne-Jones'em a Whistlerem zakończyła się walnym zwycięstwem Whistlera, odniesionym przy pomocy Oscara Wilde'a i krytyka Moore'a.

Malarstwo Whistlera jest już malarstwem nawskroś nowoczesnym. Konkurent Degasa, przesiąknięty kulturą francuską, Whistler nie uznawał nikogo oprócz siebie. Nie jest to co prawda, takie rzadkie wśród malarzy, ale Whistler miał powody do dumy. Postawił on mianowicie malarstwo angielskie znowu na płaszczyźnie europejskiej, tak jak europejskim było ono za czasów Crome'a, Cotmana, Boningtona i Constable'a.

Obrazy Whistlera pełne wyszukanych szarości, są oparte ściśle na obserwacji natury. Whistler maluje z natury, chodzi mu tylko o formę i kolor, i może dlatego właśnie osiąga masę nastroju — prawdziwego nastroju, wywołanego środkami malarskimi, które przemawiają bezpośrednio do widza, niż literackie środki pre-rafaelitów. Jego grafika i rysunki mają cechy wykwintnej przypadkowości, ale są w istocie niezawodnie trafne. Whistler miał wielu uczniów. Jednym z nich był zmarły przed kilku lat największy współczesny malarz angielski — jeden z największych malarzy europejskich Richard Sickert.

W ten sposób przechodzimy z wieku XIX XX-ty, z jego mnogością problemów, kierunku i indywidualności. W Anglii, podobnie jak we Francji, jest to okres wrzenia, dyskusji estetycznych, wystaw malarskich, okres rewolucji, poszukiwań stylu i oryginalności.

Mówiąc o współczesnym malarstwie angielskim trzeba mieć na oku jego rozwojową linię, którą pokrótce skreśliłem. Nie można np. wyobrazić sobie Wilsona Steera bez pejzażu Constable'a.

Na przelomie XIX i XX-go wieku powstają w Anglii grupy malarskie i zwalczające się koła wzajemnej adoracji. Sickert i jego współcześni Spencer Gore, Wilson Steer, zanglizowany syn Pissare'a — Lucien Pissaro, Henry Tonks, Henry Lamb i inni tworzą ówczesną awangardę.

w sposób pokrewny do Vuillard'a, ale jest od niego bardziej energiczny i męski, i ciemniejszy w kolorystyce. Obrazy Sickerta nie mają żadnej estetycznej ładności, ich kolor jest przełamany, ale głęboki i soczysty. Wyszedłszy z malarstwa przed-impresjonistycznego i przeskoczywszy niejako przez malarstwo impresjonistów, Sickert nigdy nie rozdrabiał swojej wizji na prymatyczne kolory i grę światła. Światło gra u niego zawsze rolę konstrukcyjną, jest elementem obrazu — tak jak forma i ko-

prawie wyłącznie ze swych dawnych ryków, czasem nawet z fotografii w plamach i magazyinach. Jego technika jest energiczna, niecierpliwa i niezawodnie. Malował on przeważnie kilka obrazów naraz, bo czekał aż podeschnie jedna warstwa farby, zanim położył drugą. Dla zawsze obrazy jego wyglądają świeżo, jakby malowane a la prima. Sickert miał lekki przedmiotem literackim, i tak wielkie zrozumienie istoty malarstwa że wszystko mu „wychodziło”. Nawet przekór krytykom — wychowanym na orii „Sztuka dla Sztuki”, dawał bardzo literackie tytuły swoim obrazom. Pamiętam przesłany obraz pół-aktywnego leżącego na łóżku z postacią skąd siedzącą obok w jakimś podmiejskim wnętrzu. Obraz ten nosił tytuł: „What shall we do for the rent” — „Skąd wna komorne?”. Drugi, bardzo podobny raz, po prostu inna wersja tego samego matu, nosi tytuł „Camden Town Murder” — „Morderstwo na Camden Town”. Za tego tytułu ponoć jest następujący Wkrótce po namalowaniu obrazu Sickert przeczytał o sensacyjnym morderstwie robotniczej dzielnicy Londynu — Camden Town. — Nie namyślając się długo o lepszym takim tytule na obraz, kiedy go posła na wystawę — i tytuł został.

Pod koniec życia Sickert niejako smuje się — jego gama kolorystyczna, że się jasna, jego forma uproszczona, dochodzi jednak jak Bonnard do koncepcji dekoracyjnej — pozostaje do końca realistą, obserwatorem natury.

Drugi (i żyjący dotąd) malarz angielski którego nazwisko znane jest zagranicą Augustus John. Augustus John, szedł jednak ze szkoły nie francuskiej monarchijskiej. Nie ma zrozumienia koloru, a jego rysunek jest klasycystyczny i suchy. Augustus John jest znany tym pedzlarzem, ale jego malarstwo powierzone.

Drugą taką przereklamowaną wielością, jest Yates, który smaruje na chł trafiał wszystkim kolorami tęczy i na tymetr grubo. Jest również grupa ma lub więcej utalentowanych przedstawicieli Ecole de Paris, — ciągle jeszcze aktualna a już przebrzmiała grupa ludzi starych ani młodych, wczorajszych modernistów, którzy już dziś są członkami i bardziej konserwatywnej instytucji, — jest Royal Academy, czyli londyńska chęta. Mam na myśli takich malarzy Duncan Grant, Dunlop, Mac Gargart, i inni. Są to zasadniczo niezły i larze jakich wszędzie w Europie są kamę, którzy jednak nie wnoszą nic nowego i nie będą się nad nimi zatrzymamy.

Podczas wojny Londyn znalazł się po pierwszy odcięty od Paryża i odbito się raczej ujemnie na malarstwie angielskim, choć niektórzy twierdzą, że taki krótki okres separacji jest rzeczą zdrową i malarstwo angielskie zyskało przez to samodzielność. Czy jest to korzystne, jeśli chodzi o jego poziom — to już nie sprawą.

Ważne jest co innego — a mianowicie że w Anglii uświadomiono sobie ostatnie istnienie dwóch wielkich prądów, czy tendencji występujących zresztą także w dzie indziej, a mianowicie — jak się określa w Anglii — tendencji klasycystycznej i tendencji romantycznej. Konflikt między romantyzmem a klasycyzmem jest oczywiście bardzo stary, ale przełożony na jego dzisiejszy zasługuje na szersze omówienie.

Istnieją zatem w dzisiejszym malarstwie angielskim dwie linie — jedna wywodzi się z obserwacji natury mniej lub więcej obiektywnej, z Wilsona, Crome'a, Constable'a, poprzez Sickerta do licznych i banalnych malarzy młodszej generacji, Moynihan, Sidney Smith, Ruskin i przede wszystkim bardzo wysoko notowany w Anglii doskonały malarz James thew Smith, — druga wywodzi się z romantycznej wizji Blake'a, idzie do Pre-rafaelitów, poprzez malarstwo Turner do dzisiejszych malarzy abstrakcjonistów.

Abstrakcja jest bowiem formą romantyzmu. Malarz z tradycją malowania z natury nie jest skłonny — niezależnie od deformacji, jakie stosuje w interpretowaniu natury — do abstrakcji. Natomiast malarz, który stara się wyrazić tajemną swoją wyobraźnię, dochodzi często zlekceważenia przedmiotu i łąduje w ekspresjonizmie, który z czasem przybiera formy coraz bardziej oderwane.

Termin „ekspresjonizm” stosuje się w Anglii wyłącznie dla określenia ekspresjonizmu niemieckiego z początku XX-go wieku a nie w znaczeniu ogólnym, jak w Polsce. Ekspresjonistów swoich wrażeń abstrakcjonistami. Anglijcy nazywają „markykami”. Jest rzeczą charakterystyczną, że romantycy w przeciwieństwie do klasyków znaleźli niewyczerpane źródła tematów podczas wojny. Ich kalkulacje



Joshua Reynolds: Dziewczynka z pozjonkami.

Zrywają oni z akademizmem i wprowadzają impresjonizm do angielskiego malarstwa. Między nimi a Paryżem istnieje ciągły kontakt. Sickert i inni spędzają długie okresy we Francji. O tyle jednak o ile inni reprezentują mniej więcej ortodoksyjny impresjonizm, Sickert znajduje swój własny wyraz, i choć wcześniejsze jego obrazy wykazują jeszcze wyraźny wpływ Whistlera i Degasa i — choć w tym czasie wydaje się on spóźniony w stosunku do rewolucji jaką w latach osiemdziesiątych wywołał w Paryżu pierwszy salon Niezależnych — to jednak wkrótce Sickert „nadrabia czas” i z początkiem XX-go stulecia staje na własnych nogach.

Bardzo charakterystyczna jest dla Sickerta jego skłonność do „odładniania”. Jest on godnym spadkobiercą Hogarth'a. Jest w jego malarstwie tendencja do notowania epoki bez schlebiana jej i estetyzowania. Jako realista, Sickert szuka prawdy malarskiej w codzienności, nienawidzi sztucznej malowniczości i elegancji. Jego obrazy z teatru, cyrku i sceny są wspaniałym malarstwem rodzajowym bez sentymentalizmu i pozy. Sickert jest również świetnym i niesłychanie płodnym rysownikiem. Jego rysunki, robione grubym piórem, z których często malował potem obrazy, pokrajkowane drobniakowo, widzieć można w wielu galeriach w Londynie. Sickert



John Constable: Fura z sianem.

Okres impresjonistyczny przeżywa Sickert szybko, ale podobnie jak Bonnard i Vuillard, którym jest współczesny, wyciąga z niego konsekwencje, odrzucając wszakże wszelkie impresjonistyczne reguły. W sile wieku buduje on swoje obrazy

twierdził zawsze, że rysunków nie wolno wyrzucać, że każdy się kiedyś przyda jako materiał i zalecał licznym swym uczniom chodzenie wszędzie ze szkicownikami i notowanie życia na gorącym uczynku. Z czasem, kiedy był stary, malował

## PRZEGLĄD PRASY

Kongres PSL znalazł swego komentatora w Adamie Grabowskim, który w obszernym artykule „Na marginesie Kongresu PSL” (Tygodnik Warszawski, Nr. 5) wyowiada przede wszystkim szereg zdań, mających na celu gloryfikację ustroju liberalnego, idąc z duchem czasu, autor zastępuje się jednak: „swoboda przekonań i wolność organizacji politycznej bez ich nadużywania, a więc w pewnych granicach, jakie zakreślają czynniki sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej, oraz czynniki zdrowej dyscypliny politycznej. Zdawałoby się, że to trzeźwe zdanie powinno w konsekwencji doprowadzić autora w dalszym ciągu jego artykułu do dalszych również trzeźwych ocen. Autor stwierdza wprawdzie „niezwykłe wyrobienie i dojrzałość polityczną najszerszych mas robotniczych i chłopskich”, lecz świadomość klasową i polityczną tych klas, które powołane są do przejęcia historycznego prymatu w Polsce, sprowadza jedynie do „intuicji” czy „instynktu politycznego”. W drugiej części artykułu autor zapuszcza się w skomplikowane i nie mogące już dziś nikogo przekonać idealistyczne spekulacje na temat dwóch światopoglądów, które według niego reprezentowane były na kongresach partii politycznych w Polsce. Pierwszy z tych światopoglądów, to światopogląd, który „do odrodzenia Narodu dojść chce nie inaczej jak drogami Nieba, gdyż wszystkie inne poniosą w przepaść”. Zdanie to cytuje autor według Chateaubrianda, który, jak wiadomo, należał raczej do autorów konserwatywnych, politycznie wlecanych. Drugi pogląd, zaprzeczając istnienia Boga... Ale nie cytujemy dalej. Bo dalej znajdziemy już tylko naiwne i oklepane zarzuty: że marksizm to taka sama religia, dogmaty i t. p. Bardzo nietrafnie określa również p. Grabowski genealogie obu światopoglądów, twierdząc, że pierwszy wywodzi się ze świata antycznego i chrześcijaństwa, a drugi z reformacji, rewolucji i nauki. Ten schematnie odpowiada rzeczywistości. Lektura podręcznika ekonomii przekonałaby autora artykułu, że jego podział nie jest słuszny. Cóż, kiedy p. Grabowski zachwyca właśnie to, że P.S.L. stało się stronnictwem ogólnonarodowym, zamiast klasowym. Czy wierzy autor artykułu, że może zasiadać w jednym Stronnictwie chłop wczoraj uwłaszczony i pan, któremu wczoraj odebrano ziemię? Pisze p. Grabowski o „czasach w których nad umysłami mieszczańskimi zaciążyły rozmaite mity...” wymieniając m. in. „mit” (?) klasowy. Nie wiemy co to jest mit klasowy, natomiast stwierdzamy, że nad p. Grabowskim i stronnictwem, które tak chwali, poważnie zaciążył mit solidaryzmu.

Sylwetka zmarłego niedawno prof. Stanisława Kutrzeby kreśli w tymże numerze „Tygodnika Warszawskiego” Adam Vetulani.

Pierwszy tegoroczny numer „Kultury”, pisma poświęconego kulturze radzieckiej, wydawanego przez Towarzystwo przyjaciół polsko-radzieckiej w Krakowie, ma te same wady, które wytykalismy temu piśmiu już w jednym z „Przeглядów prasy”, omawiając jeden z poprzednich numerów.

Na treść numeru składa się stary i całkowicie przestarzały artykuł Józefa Witlina, przedrukowany z „Wiadomości Literackich” z 1938 roku, „Wspomnienie Spodochroniarza”, które naszym zdaniem nie powinny zabierać miejsca w piśmie, które ma za zadanie informować nas o sprawach kultury radzieckiej, jak również bez powodu poświęcono prawie kolumnę artykułowi p. Stefana Wolasa, prezydenta m. Krakowa i prezesa T-wa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej p. t. „W rocznicę oswoobodzenia Krakowa”. Nie mamy nic przeciwko zamieszczeniu artykułów przez Prezydenta Miasta Krakowa. Gdyby p. Wolaś napisał coś o nowej poezji radzieckiej, o nowych wierszach Borysa Pasternaka (właśnie wyszedł nowy tom), o nowych powieściach radzieckich, przeczylibyśmy to z radością. Nie widzimy natomiast powodu, by w piśmie, które jak się spodziewamy przeznaczone jest dla informacji, zamieszczać artykuły Prezydenta m. Krakowa, niezwiązane całkowicie z zagadnieniem, któremu poświęcona jest pismo, tembardziej, że i zagadnienia właściwe postawione są na dość niskim poziomie i reprezentowane raczej skąpo.

Nigdy nie pisaliśmy dotąd o „Przekroju”. Wynikało to z braku miejsca jak również i z tego, że traktowaliśmy „Przekrój” jak magazyn, który się tylko przegląda. Dziś jednak, gdy powoli zaczyna się wytyrzać taka sytuacja, że „Przekrój” się czyta, a „Odrodzenie” przegląda, wypadnie nam zająć się tym piśmie nieco bliżej.

Jak dotąd mieliśmy w Polsce typ magazynu ilustrowanego na poziomie odpowiadającym mniej więcej potrzebom lumpenproletariackim lub małomieszczańskim. Różne Asy, Tygodnie, dawaly strasną meymnym Ibom, Defektywy i Erofiony podsycały t. zw. niezdrone sensacje.

„Przekrój” jest pierwszym w Polsce piśmie, które potrafiło połączyć materiał ilustracyjny z materiałem literackim. Przytym materiał literacki „Przekroju” nietylko nie pozostaje w cieniu zdjęć, lecz prze-

ciwnie, wyróżnia się doбором i świetnie harmonizuje ze stroną ilustracyjną.

Przeглядamy jeden z numerów „Przekroju” i znajdujemy następujące pozycje: Jarosław Iwaszkiewicz zamieszcza wspomnienie o swoim kuzynie, wielkim kompozytorze polskim Szymanowskim, Kazimierz Brandys drukuje swój stały felieton polityczny, Fijas-felieton satyryczny, Stefan Kisielewski pisze o butach, nawet wiersza, zazwyczaj w pismach tego rodzaju traktowane po macoszemu, stoją tu na poziomie. W innych, poprzednich numerach „Przekroju” notujemy reportaże Kotta z Londynu, artykuł tegoż autora o filmie, felietony Minkiewicza i t. p. W sumie „Przekrój” stał się „boczną ulicą” prawie wszystkich poważniejszych piór w Polsce, które tu, właśnie w piśmie tego typu, mają możliwość nawiązania kontaktu nawet z tym czytelnikiem, który nie interesuje się specjalnie literaturą i artykułami tego samego pisarza w innym piśmie być może nawet nie przeczyta.

ph.

## KRONIKA FRANCUSKA

## RUCH WYDAWNICZY

Ruch wydawniczy we Francji jest niezmiernie ożywiony. Bibliografia książek i pism literackich nie wiele różni się od bibliografii okresu przedwojennego.

W okresie grudnia ub. r. ilość pozycji wydawniczych książkowych, licząc zarówno wznowienia jak i książki nowe, wynosiła około 140. Najbardziej reprezentatywny jest dział prozy.

Rozpowszechnione przed wojną tzw. edycje luksusowe tzn. wydawnictwa w ograniczonej ilości egzemplarzy, na papierze wysokiej gatunku, kontynuowane są i obecnie. Książki te przeważnie są ilustrowane przez wybitnych grafików francuskich. Wśród edycji luksusowych wymienić należy „Lilie w dolinie” Balzaca, „Panią Bovary” Flauberta, wiersze Cocteau „Leone” z litografiami autora, „Mysi” Pascala i in.

Również w dziedzinie czasopiśmiennictwa literackiego ruch wydawniczy we Francji osiąga normy przedwojenne. Nie spotykamy co prawda „Nouvelle Revue Française” (pismo to w okresie okupacji skupiało pisarzy-kollaborantów) natomiast z pism dawnych notujemy poświęcone poezji, ukazujące się przed wojną w Marsylii „Cahiers du Sud”. Z nowych pism wymienić należy przede wszystkim „La Pensée”, „przeгляд współczesnego racjonalizmu”, skupiający pracowników naukowych, zwolenników światopoglądu materialistycznego. Stałymi współpracownikami „La Pensée” są m. in. Paul Langevin, Henri Wallon, René Arcos. W nr. 4 „La Pensée” znajdujemy kilka artykułów poświęconych Romanowi Rollandowi, oraz artykuł Claude Morgana o Barbusse w dziesiątą rocznicę śmierci tego pisarza. „L'eternelle Revue” założona w okresie konspiracji przez Paula Eluarda a redagowana obecnie przez Louis Parrota jest piśmie raczej ściśle literackim. Piśmie poświęconym poezji jest „Poésie 45”, redagowana przez Pierre Seghers. Wśród współpracowników wymienić należy Aragona, Elise Triolet, Rogera Desnos, Pierre Emmanuel i in.

„L'Arche” w nr. 10 przynosi artykuł André Gide'a o Valerym, listy Valery'ego, wiersze Jean-Paul Jouve.

Wśród wydawnictw książkowych, które ukazały się w grudniu wymienić należy w dziale publicystyki, dotyczącej spraw Francji i wielkiej pracy Bernanosa (Reflexions sur le cas de conscience française) pracę Leona Bluma (L' Histoire Ingera). W dziale prozy literackiej notujemy m. in. powieść Plisniera, wśród wydawnictw poetyckich książkę Rogera Lannesa o Cocteau, wiersze Janimesa (Sources et feux), wśród wydawnictw poświęconych sztuce — André Gide'a: Poussin.

## SURREALIZM

Surrealizm jako prad przewidywany przez czas bzdury dziś wiele wadliwość. Zwolennicy surrealizmu usiłują garzawić sprawę dawno przebrzmiałą. Z tych noczyń powstały dwie interesujące prace. Pierwsza, „Histoire du surrealisme” Maurice Nadeau — autor utrzymuje, że surrealizm jako kierunek wygasł na początku drugiej wojny światowej. Natomiast stwierdza, że surrealizm jest wciąż żywy jako stan umysłu. Druga praca o surrealizmie wyszła spod pióra jednego z twórców tego kierunku, André Bretona. W swojej rozprawie, właściwie odczytanie, wygłoszonej w amerykańskim uniwersytecie Yale, Breton, którego trudno wywać za bezstronnego, twierdzi, że „artykuły na temat śmierci surrealizmu pisano stale, co miesiąc od daty narodzin tego kierunku”. Jako odpowiedź powołuje się Breton na ożywioną działalność surrealistów skupionych wokół pisma VVV wydawanego w New-Yorku.

## NOWA SZTUKA ANDRÉ GIDE'A

W pierwszym numerze „L'Arche”, jaki został wydany w Paryżu („L'Arche” w okresie okupacji była wydawana w Algierze) znajdujemy zakończenie sztuki Gide'a „Robert ou l'interet general” której pierwsze trzy akty drukowano w numerach poprzednich.

Trzecia sztuka jest przede wszystkim okrutna analiza moralnych i intelektualnych odruchów pewnego przemysłowca. Postać ta prócz podobieństwa imienia ma inne jeszcze cechy wspólne z postacią jednej z powieści Gide'a i, dodajmy nie bez złośliwości, z samym autorem. Mianowicie działa tak, jak uważa za stosowne. Treść sztuki, w przeci-

Leon Schiller postanowił kontynuować w Łodzi swoją działalność reżyserską i pedagogiczną przy równoczesnym prowadzeniu prac teoretyczno-organizacyjnych w zasięgu całego kraju. Przybył do nas natychmiast po zakończeniu prac Teatru im. Bogusławskiego na obczyźnie, teatru, któremu przysły historyk niezawodnie poświęcił osobną knurę w dziejach polskich peregrinacji teatrowych.

Nie ma kulturalnego człowieka w Polsce, nie zdającego sobie sprawy, z doniosłości z prac nie zdającego sobie sprawy z doniosłości pracy Leona Schillera w dziedzinie teatru polskiego.

„Pastorałki” i „Wielkanoc”, najznajmniejsze widowiska misteryjne i obrzędowe Go Schillera umieszczają się zazwyczaj na początku jego drogi scenicznej. Dziś, kiedy ten teatralik daje się traktować jako skończona choć napewno niezamknięta całość, wydaje się, że widowiska te były raczej wstępem któregoś motywy zabrzmią wprawdzie nieraz i po tem, ale pierwszym dziełem istotnej i decydującej twórczości wielkiego inscenizatora był niewątpliwie „Książ Pantomim” Micińskiego. Można by osądzić, że utwór ten, zrealizowany na wia-

snej już scenie Teatru im. Bogusławskiego ukazał się — nie z winy reżysera — zbyt późno w stosunku do epoki, która go zrodziła, a jednak widowisko Schillera pt. „Książ Pantomim” było przedwczesne, jeśli idzie o przygotowanie widowia do tego teatru, który potężnym i bezkompromisowym uderzeniem narzucił Schiller ówczesnej Warszawie. Nie dziwnego: w tym samym dokładnie czasie teatry dobrze notowane dopuszczały na swe sceny „Komedio-farsy”, kultywowały z czułością szablony i wytarty kształt inscenizacji, a próby innych poszukiwań, „obstawione” okolicznościami stwarzanymi przez szkoldników, pojawiały się sporadycznie dzięki indywidualnym wysiłkom reżysera (Zelwerowicz); Reduta, miwo ważnych wydarzeń (tetmajerowski Judasz Jaraćza) nie wyszły poza fazę laboratoryjną.

„Książ Pantomim” zainicjował nowy teatr. Młodopolski formalnie utwór, niepozawiony elementem maeterlinckowskich, w świadomych i drapieżnych rękach Schillera stał się uderzeniem w drzwi mocno zamknięte i porosłe już pleśnią. Przez scenę przeszła rewolucja roku 1905 w swoim patosie nieprzygotowania, w dynamice smutku i bólu. W Lej swej pracy tego rzędu Schiller od razu rozwinął mistrzostwo ekspresji ludzi scenicznych w gromadzie. Ekspresja tej gromady ileż wyraził, jakże wstrząsnął! Scenę zbudował z Pronaszką, który tego dnia rozpoczął swoją właściwą działalność scenografa bezkompromisowo ekspresjonistyczną dekoracją. Do widowiska weszła muzyka Szymanowskiego.

W następnym sezonie łączą Schiller dyrektorem Teatru im. Bogusławskiego z Zelwerowiczem. I znowu odrobienie zaległości: „Achilles” i „Róża”. W tym sezonie parominutowa scena staje się kartą polskiej twórczości teatralnej: scena „Nieboskiej” kiedy „Tańcują mężczyźni i kobiety wokół szubienicy i śpiewają”. Premiera „Nieboskiej” odbyła się w miesiąc po przewrocie majowym i jej wyraz rewolucyjny, waleczny, daje krótki, stanowczy odzew u władzy: zamknięcie teatru o historycznej doniosłości! Mimo protestu wszystkich grup politycznych, zespołu związków zawodowych i zrzeszeń artystów.

Wpływ ekspresjonizmu niemieckiego przetrwał Schiller w tym czasie na własny imponujący styl, a pewne pokrewieństwa z Tairowem przestają być ważne skoro szybko przyszłość stawia Schillera, niepomniernie wyżej od płytkiego, choć głośnego reżysera rosyjskiego.

Jako reżyser en vogue zostaje Schiller pochwycony przez Teatr Polski. Lecz i tu przychodzi dzień zatrzymania: wystawienie „Opery za trzy grosze”, („The Beggars Opera”) staje się obrazą mieszczańskiej widowni, nade wszystko jej... rąk i pleców. Obrażone rąki i plecy widowni nie mogą tolerować Schillera, którego Opera „Zebaków” (u Tairowa pogodna komedia muzyczna) jest buntem, wyrznięciem, twarzą i groźną satyrą społeczną; pieśni i wiersze w tym widowisku — Władysława Broniewskiego.

Odtąd rozpoczyna się Schillera exodus i peregrinacje. Odtąd pojawia się w życiu Schillera Łódź, która stale oczekuje chwili, kiedy niezwykłej miary inscenizatora, znowu pewnego dnia zatrzymanego u bram teatru stołecznego, można pochwytać i wprowadzić do swego teatru. I „Dzielnicy wojak Szwejk” Schillera staje się satyrą na militarizm upadających mocarstw, a ten sam epos w uległych rękach reżyserów krakowskich lub warszawskich jest opowieścią niemal w stylu kaprala Szczapy.

I znowu w dalszych dziejach (przez sezon sprawowanych w łącznej dyrekcji z Jaraćzem) po premierze „Snu srebrnego Salomei” jakaś tam komisja nuniemyjalna lwowska każe starem profesorowi uniwersytetu stwierdzać, czy widowisko w swym wydzwieku politycznym przekroczyło merytoryczność Słowackiego czy nie przekroczyło... W Warszawie — sposób inny: władze porządkowe dopisują do widowiska „Krzyżczy Głiny” akt ostatni, bez udziału autora, reżysera i aktorów, ale przy czynnym współudziale widzów: przed gmachem Teatru Ateneum stoją „budy” i w drodze przymusowej odwożą publiczność do komisariatu.

W tym też czasie na scenach polskich pojawia się szczerze dzieło twórczości reżyserkiej Schillera: „Dziady”. Widowisko to domaga się osobnej publikacji (broszurkowy szkic Brumera nie jest istotny). Nie podobna zająć się tu zobrazowaniem wszystkich ogniw tej bogatej twórczości, w której widnieje i niezwykle wypowiedzony i odczuty tekst „Zborowskiego”, i Szekspir („Cezar”), „Kotłoman” („Lit”), i wplata się B. G. Shaw kapitalnym, niedocenionym przedstawieniem „Domu serc złamanych”; i nowy teatr francuski (Gérardoux, Cocteau) i komedie muzyczne na elemencie społeczno-socjalnym. A przecież odkryweź i reformizm Schillera w zakresie struktury dramatycznej widowiska, inscenizacji, reżyserii i jej metodyki konstruowania scenografii, muzyki to jeszcze nie pełna lista jego zasług. Istnieje jeszcze lista teatrologiczna, teoretyczna i lista wychowawczo-pedagogiczna. Jego pozycja ma charakter europejski wpływ jego znaczny. Za jego sprawą zjawiają się w Polsce reżyserowie z normatywnym wykształceniem fachowym.

Jest rzeczą wiadomą że Leon Schiller po wyjeździe z Oświęcimia opracowywał w konspekcie podstawy strukturalne nadchodzącego teatru.

Dziś, jest jedną z najwybitniejszych pozycji w nowej erze budowania kultury polskiej i działalności jego w organizowaniu twórczości teatru i jej metod uzyskała pełną możliwość.

Henryk Szletyński.

wieściwie do poprzednich utworów dramatycznych Gide'a („Saul”, „Le roi Candale”) jest realistyczna. Robert jest karykaturą ducha mieszczańskiego. Robert jest pozbawiony wszelkich odruchów ludzkich: ma w sobie tylko odruchy posiadacza, obliczającego zyski i maskującego to pod płaszczykiem łagodnej hipokryzji.

Pięćoaktowa sztuka Gide'a nie jest arcydziełem, zapewne właśnie dlatego, że bohater sztuki pozbawiony został cech ludzkich.

## NOWE WYDANIE „CORNET A DÉS”

MAXA JACOBA

Max Jacob, jeden z wybitniejszych poetów współczesnej Francji, poeta, który w obrębie surrealizmu stworzył własny gatunek poetycki, zginął w czasie okupacji z rąk Niemców w Drancy. Jacob, Żyd z pochodzenia, był jednym z najczystszych poetów katolickich Francji. Obecnie w wydawnictwie Gallimard ukazało się powtórnie wydanie „Cornet a dés” oraz dwa dzieła pośmiertne: „Derniers poemes en vers et en prose” i „Conseils à un jeune poete”. „Cornet a dés” jest to zbiór próz poetyckich — jeden z najpiękniejszych tomów surrealistycznej poezji, będący wykładnikiem awangardowej myśli poetyckiej lat dwudziestych. W swojej „Art poetique” mówi Jacob: „Rymy zbyt bogate i brak rymów, nazwy ulic i wspomnienia lektury, codzienny język rozmowy, to, co się dzieje po tamtej stronie równika, nieoczekiwane pauny, atmosfera snu, nieprzewidywane konkluzje, związki pojęć i słów, oto nowy duch”.

„Les Derniers Poemes”, powstałe w ćwierć wieku później są świadectwem głębokiej wiary Jacoba i dokumentem tragicznych wydarzeń wojny. W wierszach tych, powstałych w latach nieładu i pogardy zadrzewia głęboki i bardzo ludzki klasycyzm.

## „LUDZIE DOBREJ WOLI”

JULES ROMAİNSA

Romains był jednym z twórców „powieści-rzeki” (roman-fleuve) jak Proust, jak Martin du Gard, jak Montherlant. Wielka powieść Romainsa, niezmiernie głośna przed wojną, rozpoczęła się dnia 6 października 1908 roku. Tom 19: „Wielkie światło na Wschodzie” został napisany zapewne w czasie wojny. Romains czas wojny spędził w Stanach Zjednoczonych i mimo, iż nie występował jako zwolennik Niemiec przeciw silnie akcentował swoją niechęć do ZSRR. Romains przed wojną należał do adherentów koncepcji panuropejskiej i pseudoliberalnym gestem pokrywał faktyczne wstępczość tej koncepcji.

Nowy tom Romainsa jest książką niezmiernie tendencyjna, antyradziecka. Autor pokazuje nam Francuzów podróżujących po Związku Radzieckim i pozwala im mówić tylko to, co sam myślą.

„Ludzie dobrej woli” mają pretensje do tego, by być obiektywnym obrazem społeczeństwa francuskiego w okresie ćwierćwiecza. Jednakże ustami rozczarowanych Francuzów w dziewiętnastym tomie tej ogromnej powieści mówi tylko Jules Romains.

„Wierze w ludzi dobrej woli...” — pisał w 1939 roku Jules Romains, który wierzy, że historia zależy od woli człowieka. Ostatni tom jego powieści świadczy o obłudzie i subiektywizmie.

## KSIAZKA O TRZECH KOLLABORACJONISTACH

Sprawa kollaboracjonizmu żywo interesuje przede wszystkim Francuzów. O ile w innych krajach okupowanych mieliśmy do czynienia z wypadkami kollaboracjonizmu politycznego, o tyle we Francji mamy do czynienia z prawdziwą „zdradą klerków” na rzecz okupanta. Książka Dominique Pado poświęcona jest trzem pisarzom francuskim, którzy ściśle współpracowali z okupantem: Maurrasowi, Berandowi i Brasillachowi. Wszyscy trzej byli zdeklarowanymi faszystami przed wojną i korzystali z tolerancji i liberalnych praw Trzeciej Republiki, które pozwalały im spokojnie prowadzić kampanie przeciwko zasadom tolerancji i liberalizmu. Natychmiast po oswobodzeniu Francji, postanowiono ich przed sądem: Maurras i Berand zostali skazani na wieloletnie więzienie, Brasillach został rozstrzelany. Książka Pado, poprzedzona sprawozdaniem ze wstępnego procesu G. Joly z którego dowiadujemy się o karierze trzech zdradców, stanowi głosze do procesu Maurrasa, Beranda i Brasillacha.

# N O T Y

## PRZYCZYNEK DO „HISTORII GENERALNEGO GUBERNATORSTWA“

Felietonista „Polski Zbroinej“ J. A. P. (24.1.46), jak twierdzi, znalazł w Krakowie między papierami pozostawionymi przez pewien „Abteilung“ niemiecki „historie Generalnego Gubernatorstwa“ widziana „oczyma Niemców“. Z przytoczonych danych wynika, że ziemie nasze przed Chrystusem wchodziły całkowicie w skład Niemiec, po Chrystusie były rządzone przez wierno-poddające rody niemieckie von Piastów, von Jagiellów i gubernatorów wybieranych elekcyjnie, aż wreszcie zostały podzielone na trzy berycki, z których dwa puszczone w dzierżawę, a jeden tylko pozostawiono przy macierzystym państwie.

Dokument ten mógłby być cenny, gdyby w istocie był pozostawiony przez Niemców. Autorzy (Polacy, i nawet nie z tych, co są skłonni podawać się za Volksdeutsche) „lojalnej historii Polski“ co prawda nie mogą dochodzić swych praw, jako że rzecz ta ukazała się drukiem w „Szczytku“ z dnia 9 października 1873 roku, a więc wystarczająco dawno, aby o niej wiele osób zapomniało. Panowie Balicki i Maykowski zbierając materiał do wypisów polskich „Mówią wieki“ na klasę IV gimnazjum nie omisskali (na str. 87) zaznaczyć w nich szerokich mas młodzieży szkolnej ze szczutkowskim pamfletem na lojalnych wobec Austrii historyków krakowskich, zwanych Stańczykami. Postąpili jednak o tyle taktownie, że nie przypisali zasługi sobie i nie wprowadzili poprawek, na jakie pozwilił sobie nasz felietonista, wiedziony być może jak najlepszymi intencjami — chęcią unowocześnienia i zaktualizowania nieco przestarzałych zwrotów.

W ostatnim wydaniu mamy „manewry“ zamiast „manewra“, „general“ wyrugował „generała“, „dyrekcja“ została zastąpiona „dystrykcją“, „Mieczysław“ ustąpił miejsca „Mieszkwowi“ (brzmi milej dla ucha — tak

piaszczotliwie). Poza skorygowaniem formy nastąpiło też pewne uwspółcześnienie treści. Przede wszystkim kraj nasz był prowincją niemiecka, nie austriacka. Krakus dostał się do Dachau, Wanda została zagazowana w komorze w Oświęcimiu, a nie utopiona w Wiśle, jak głosiła redakcja „Szczytka“. Bolesław Śmiały po skandalu z biskupem von Szczepanowski został przeniesiony do Bukaresztu, zamiast, jak dawniej do Bukowiny. Łokietka wysłano przeciw Grekom, nie przeciw Prusakom (w Rzeszy byłoby to niemożliwe). Pułaski umieszczony został w Dachau, a nie w zapomnianym już Kufstein. Wreszcie ostatnio panował w Generalnym Gubernatorstwie (brzmi to bez porównania lepiej niż „Namiestnictwie“) Hans I von Frank, co ma podstawy prawdziwości większe niż jakiś Agenor I podany bez sensu w starym wydaniu. Oh, J. A. P. nie odmówił sobie też wzmianki o Norymberdze, gdzie to pod ścisłym nadzorem piśse się obecnie historia najświetniejszego okresu, czego nie mogli przewidzieć autorzy pierwowzoru.

dsz

### CIEKAWY DOKUMENT

Dnia 15 stycznia ukazał się tegoroczny numer 1 Głosu Nauczycielskiego — organu ZNP. Jest to pierwszy numer tego pisma po zjeździe bytomskim, który odbył się dwa miesiące temu.

„Głos Nauczycielski“ jest jednym z niewielu pism docierających do nauczycieli:

Panowie z Zarządu ZNP przy każdej okazji deklamują, jak ważna jest dla demokracji dobrze poinformowana opinia publiczna.

Wiemy, że Zjazd bytomski wywołał liczne echa i bardzo różne. Panom z Zarządu Gł. wygodnie jest wierzyć, że mają przeciw sobie nie wysoce zróżnicowaną opinię publiczną, która jednym głosem uderzyła na alarm, ale, że występuje przeciw nim tajna mafia „Czarnej reki“, zżarna, jednolita, wroga. Im

jest wygodnie. Ale w ten sposób nauczyciel polski żyje pod terrorem zgranej siły, która przemilcza prawdę i źle informuje.

Każdy przytomny czytelnik odróżnia bez trudu oblicze ideowe i polityczne „Odry“ i „Kuznicy“, „Dziennika Ludowego“ i „Głosu ludu“.

A przecież każde z tym pism oceniło zjazd — z jednakową troską, podobnie wytykając błędy i niedociągnięcia. Artykuły, które się na ten temat ukazały, były jak na stosunki polskie wyjątkowo rzeczowe i pełne treści.

Zarząd ZNP miał obowiązek poinformować o zarzutach sformułowanych w tych artykułach członków związku, miał obowiązek polemizować z krytyką, jeśli się czuł na siłę bronić. Tego wymagała dobre obyczaje demokracji.

Łatwo jest szkłować państwową cenzurę. Ale naprawdę groźna jest taka prywatna cenzura wstecznicza.

Tym nieprzychylniejszą rzeczą jest oświadczenie na ostatniej stronie pisma, które rzeczową krytykę zarządu ZNP przeprowadzoną przez ministra Bienkowskiego nazywa gołosłownie: niezgodną z prawdą. Bo i tu nie streszczono argumentów ob. Bienkowskiego, nie przeprowadzono dyskusji.

Nauczyciele polscy, którzy nie mogą numerować wszystkich pism, mają prawo żądać, aby ich poinformowano o sprawach bezpośrednio obchodzących związek. Ten spiszek milczenia musi być przerwany. Bez względu na to, czy jest taktyka terroryzowania mas związkowych przez paru „bonów“ stosujących bezwzględne metody prywatnej cenzury — niekontrolowanej przez żadną demokratyczną opinię publiczną, czy też jest chętnym do chowania głowy w piasek przed słuszną krytyką, na która jedyna odpowiedzia winna być dymisja tych, którzy nie umieją podjąć zadaniom kierowników związku.

wszewładna Libero? Nie chce się przyznać. Wobec tego będziemy po kolei zaczepiali wszystkich żyjących i umarłych, którzy tyle starańłożyli, aby osiągnąć styl niepoznawalny i wszystkich, którzy się starali o to, aby poznawano ich po stylu na drugim krańcu ulicy. Tych, których style w ciągu życia tak bardzo nie zmienił, i tych których styl tak mało się zmienił. Nie ma o czym pisać: „nie wybiera się stylu, ten jest dany“. To nieprawda, że Waclaw Berent stylizował „Żywe kamienie“ i styl był mu dany. To nieprawda, że autor „Madame Bovary“ zrywał się w nocy zaniepokojony, że umieścił w jednym zdaniu dwa zaimki względne — i biegł poprawić rękopis. Z początku były mu dane dwa zaimki względne, a potem szczerdy Bóg się rozmyślił.

Nie będziemy o te sprawy zaczepiali Kazimierza Wyki. Nie on bowiem ten piorunujący nonsens wymyślił. Ten był mu dany — w transie przez latającego demona, który co pewien czas nawiedza Kraków pod postacią Artura Sandauera. Z tego transu i opętania zrodził się jeszcze jeden „pastiche“ Leśmiana, który czytamy w artykule Wyki. Oto najsłodsze szczegóły:

„Podprezjacie szczerde biodra w róg nie-doksięzyca“.

Tu też o dziadychach: „Zaruneli w rude dziewczki, każdy swym kosturem“.

Po tych sadystycznych wizerunkach pocziwego redaktora „Twórczości“ medium Sandauera dodaje filuternie: „jak czytelnik zapewne zauważył, chodzi o erotykę Leśmiana“.

Czytelnik wolałby nie zauważyć, ale trudno, rzecz już się stała, szaleństwo Sandauera zbliża się do bram Alma Mater, Krakowianie, szyjcie kaptany bezpieczeństwa!

awk.

### „IRYDION“ TYTONIOWY

W piśmie „Wiadomości Tytoniowe“ czytamy następujący opis otwarcia Wytwórni Polskiego Monopoli Tytoniowej:

„Po dokonaniu uroczystości poświęcenia Wytwórni, odbyła się w fabryce Wytwórni uroczysta akademicka, która zagal Dyrektor Wytwórni Ob. Szczesnowicz:

„Zwaliska gruzów, smutne oczodoly osmalonych i wypalonych okien, zwój rur, maszyn i żelaza, a nad tym sterzające, pogięte filary, jak reka wolałajca o pomste do niebios, oto obraz fabryki i spojrzalem w ich twarze — mowil dalej Dyr. Szczesnowicz —

„Wśród tej panoramy zniszczenia i grozy snuli się ludzie zmarznięci i głodni, grzebiąc gołymi rękami, jak to czynia bezdomni, to był ci, którzy pierwszy stanął do pracy, to był jej pionierzy. To ci, którym determinacja czynu i wiara kazała rozpacz zdusić, a niewiare stłumić. Gdy pierwszy raz stanalem wśród grupy społeczeństwa fabryki i spojrzalem w ich twarze — mowil dalej Dyr. Szczesnowicz — to wyczytalem w nich jedno: twarda wole czynu w imie hasła — dla Ciebie Polsko“.

Od siebie możemy dodać tylko: „Idź i czyń!“

mj.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

Lech B., Łódź. Niedobrze, że z wierszy Fluarda przejęliście tylko jedno: brak interpunkcji.

W. Bucz, Włanów. Jest w tych utworach widoczne oczytanie w poezji parnasistów. Musicie się nauczyć kondensować treść, wyrażając tylko to co konieczne, bez zbytecznych ozdób — wątpliwej wartości.

J. Paweł, Wrocław. „Głowa moja zaślubiła gwiazdę“, „Myśl odjęta od nocy pochmurnej zanalifa gwiazdę“. Można na odwrót, na krzyż itd. Dążyć do konkretności wyrazu, porzucić tę jadalną manierę.

J. Z. Zakopane. Nie do druku.

### SPROSTOWANIE

W związku z nowym wydaniem „Pana Tadeusza“, które ukazało się w „Książce“, stwierdzam wobec częstych nieporozumień, że nie mam nic wspólnego z komentarzami, przypisami i objaśnieniami do dzieła. Jestem autorem wyłącznie słowa wstępnego i tylko za nie biorę odpowiedzialność.

Mieczysław Jastrun.

### SZALEŃSTWO SIE UDZIELA

Niedawno zwróciłem uwagę na interesującą pracę Artura Sandauera o poezji Leśmiana („Odrodzenie“ Nr 2) i na szaleńcze wyskoki, które te prace popsuly. W nr. 5 „Odrodzenia“ Kazimierz Wyka zastanawia się nad możliwościami zastosowania sposobu użytego przez Sandauera do innych zjawisk literackich, nie tak krańcowych w swoim wyrazie stylistycznym. Wyka proponuje Sandauerowi zająć się pisarzem, który ma bardziej racjonalistyczny stosunek do języka, niż Leśmian. Wtedy rzeczywiście będzie można mówić o metodzie krytycznej. Uwagi Wyki są tym cenniejsze, że na naszych krytykach ciąży jeszcze przedwojenna skłonność do zajmowania się zjawiskami stylistycznymi krańcowymi, osobliwymi, wypaczającą m. in. wartość. Niestety, do artykułu Wyki zakradło się przedziwne nieporozumienie. Wyka żartobliwie potraktował nagrobek wystawiony Leśmianowi przez Sandauera, co należałoby raczej uznać za bardzo poważny nietakt, natomiast całkiem na serio wziął szaleńcza przedmowę „metodologiczną“ Sandauera i oto ją zachwala:

„Sandauer wychodzi ze słusznego założenia, że forma bardziej zdradza pisarza aniżeli treść. W treści wyrażają się rzeczy zamierzone przez autora; w formie natomiast jego cechy naturalne i niejako mimowolne; podobnie jak to, czego nie dopowiedziały słowa, objawia się samochoć w gestach i czynach“. Założeniu podobnemu niesposób cokolwiek zarzucić. Stanowi ono oczywiście podstawę wszelkich badań stylistycznych i tylko dlatego te badania posiadają swój sens, że świadomie czy nieświadomie zawsze wychodzą z tej prostej prawdy. Mówiąc to dobitnie: wybiera się temat, wybiera się osnowę utworu, ale nie wybiera się stylu. Ten jest dany.

O tę sprawę nie będzie chyba nikt Sandauera zaczepiał.

Słowa „nie wybiera się stylu“ Kazimierz Wyka wytłuszcza. Więc rzeczywiście — nie będziemy już o te sprawy zaczepiali Sandauera. Odtąd będziemy zaczepiali Juliana Przybosa, jako że przez lat dwadzieścia starał się w nas wmówić, że wypracowanie sobie jakiś styl, a tymczasem „ten jest dany“. Będziemy zaczepiali Zbigniewa Bienkowskiego, któremu się zdaje, że styl jego „Sprawy wyobraźni“ ma cokolwiek wspólnego z jego świadomością. Przyznajcie się panowie, kto wam dał styl, Bozia czy Artur Sandauer, Kazimierz Wyka czy bogini podświadomości.

### Prenumerata „Kuznicy“ wynosi:

w ŁODZI i na prowincji zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie z przesyłką pocztową.

PRENUMERATE PRZYJMUJĄ: W ŁODZI

Dział prenumerat „Czytelnika“ ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74  
Księgarnia „Czytelnika“ ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04  
Księgarnia „Czytelnika“ ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65

NA PROWINCJI:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kolorata „Czytelnika“.

## Centrala żelaza i stali

Skrót telegr.: „Centrostal“ Katowice, Ligowa 7 Tel. 329-61

Sprzedaje następujące

stale szlachetne oraz wyroby stalowe

Stal szybko tnąca

Stal narzędziowa dla wszelkich celów

Stale konstrukcyjne stopowe i nie-stopowe

Bednarka zimno walcowana dla wszelkich celów

Wiertła spiralne

Noże dla piernictwa, garbarń, fabryk tytoniu itp.

Odlewy ze stali wysoko-manganowej

Odkówki według rysunków

Elektrody i druty do spawania nia acetylenowego

Odlewy stalowe i obrabione

do drobnych seryjnych sztuk, aż do największych o wadze sztuki do 40 t.

Części płuzne, lemieszce, odkładnie, płozy

Sprężyny do bron i kultywatorów oraz radliczki do nich

Kultywatory 5-palcowe

Brony zyżakowe 2-polowe

Rynny poirzające kopalnian

Luski kopalniane do odbudowy chodników

Stropce kopalniane (kopy)

Oferty i porady na życzenia P. T. Odbiorców udzielają:

Centrala żelaza i stali — Katowice, Ligowa 7

ORAZ WŁASNE SKŁADY STALI SZLACHETNEJ:

Warszawa, ul. Lwowska 13, tel. 278

Łódź, ul. Gdańska 66, tel. 159-30

Poznań, ul. św. Marcina 61, tel. 29-30

Kraków, ul. Dumajewskiego 2, tel. 559-13

Katowice, ul. Pierackiego 6, tel. 319-19

GENY OGŁOSZEN: F iumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalce.

Redaguje Zespół „Kuznicy“. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

D-02797

Wydawca: Zespół „Kuznicy“, — Drukarnia

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“ Nr. 4, ul. Żwirki 2.